

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI

Warszawa, 26 czerwca 1955 r.



CIW 9013

Nr 25 (499)

SYLWESTER ZALEWSKI

ŚWIATOPOGŁĄD I POLITYKA

ZAGADNIENIE inspiracji światopoglądu katolickiego pojawiło się w publicystyce katolickiej (nie dawno!), stąd brak jeszcze wyczerpującego omówienia tego problemu. Zródeł zagadnienia trzeba szukać w postawieniu pytania: czy wybór stanowiska społeczno - politycznego pozostaje w związku z posiadanym światopoglądem, czy też związku takiego nie ma.

Każda forma działalności człowieka, a więc i zaangażowanie katolików w pracę społeczno - polityczną, znajduje swoje uzasadnienie i sens w oparciu o motywację światopoglądową. Jeżeli działanie dokonuje się mimo posiadanego światopoglądu, to można by powiedzieć, że światopogląd taki jest niepotrzebnym balastem, albo że działanie takie jest pozbawione sensu. Z kolei trudno się zgodzić na bezsensowność działania, bo to stałoby w sprzeczności z rozumną naturą człowieka domagającą się działania celowego, przeto trzeba przyjąć, że u podstaw działania leżą przesłanki światopoglądowe wyznaczające cel. Inną jest rzeczą czy te przesłanki są w pełni uświadomione, czy nie.

Praktycznym przejawem inspiracji światopoglądu katolickiego jest troska o misję Kościoła w świecie socjalistycznym oraz właściwie pojęta służba rewolucji socjalistycznej. Troska o perspektywę misji Kościoła w socjalizmie jest przede wszystkim troską o stwarzanie faktu postępowej funkcji społecznej religii katolickiej oraz troską o zdecydowane odcięcie się od tej interdykcji doktryny, która służy obronie wstępnego porządku kapitalistycznego. Służba rewolucji socjalistycznej obok realizacji programu gospodarczo - społecznego nakreślonego przez władzę klasy robotniczej musi być także troską o wzbogacenie rewolucji. Wzbogacanie to polegać może na poszerzeniu motywacji o nowe dla rewolucji przesłanki światopoglądu katolickiego. Praktyka ruchu społecznego - postępowego dała przeto odpowiedź na zasadnicze pytanie: czy posiadany światopogląd pozostaje w związku z wyborem stanowiska za socjalizmem a przeciwko kapitalizmowi, czy też związku takiego nie można się doszukiwać.

Bolesław Piasecki w przedmowie do „Zagadnień Istotnych” pisze, że „...ateizm partii klasy robotniczej nie atakuje intencjonalnie najdroższą dla katolików Prawdy, ale atakuje intencjonalnie funkcję społeczną wiary w Boga wyrażającą się w stosunku katolików do świata społecznego i świata przyrody. Atakowany jest rezultat tej funkcji — społeczne dzieło katolicyzmu, niedostateczność historyczna tego dzieła”.

Jakie są przesłanki takiej postawy? Po pierwsze trzeba stwierdzić, że ateizm w tej formie postulował wyzwolenie ekonomiczne i społeczne człowieka, a więc stał się problemem humanizmu. Boga nie potrzeba zaprzeczać w Nim samym, wystarczy jeśli obali się Jego podstawy w ludzkim istnieniu, a problem człowieka wierzącego przestanie być problemem. Historyczne doświadczenie mówi, że pojęcie Boga jest przeszkodą w realizacji społecznych potrzeb wszystkich ludzi. Skutki funkcji społecznej wiary czyli dzieła są niewspółmierne z możliwościami i potrzebami człowieka. Trzeba więc krytykować dzieło społeczne katolicyzmu, trzeba stworzyć takie warunki społeczne i gospodarcze, w których człowiek zrozumie, że wszystko zależy od niego samego, że warunkiem pomyślności życiowej nie jest wiara w Boga połączona z minimalnym wysiłkiem lecz maksymalną pracą. Na tych intelektualnych przesłankach oparł się współczesny ateizm marksistowski.

Zadaniem katolików jest tworzenie dzieł mogących stanowić podstawę uogólnienia nie tylko o społecznej nieszkodliwości pojęcia Boga, lecz właśnie o twórczej, postępowej funkcji społecznej tego pojęcia.

Władysław Senko — O pojęciu inspiracji światopoglądowej, „Dziś i Jutro” 24.X.54 r.

Wojciech Włoczko — Wokół zagadnienia inspiracji światopoglądowej, „Dziś i Jutro”, 12.XI.54 r.
Janusz Zabłocki — Katolicka inspiracja światopoglądowa, „Dziś i Jutro”, Cz. I — 6.II.55 r., Cz. II — 13.II.55.

W listopadzie ub. roku opublikowana została w prasie radzieckiej uchwała KC KPZR o błędach w prowadzeniu propagandy nauko-ateistycznej wśród ludności. Znajdują się tam następujące stwierdzenia: „...nie wolno nie uwzględniać tego faktu, że są również tacy obywatele, którzy — biorąc aktywny udział w życiu kraju i uczciwie wykonując swój obowiązek obywatelski wobec ojczyzny — znajdują się jeszcze pod wpływem różnego rodzaju wierzeń religijnych. Partia żądała i będzie nadal żądać, by do tych ludzi odnoszono się wnikliwie i troskliwie. Tym bardziej głupie i szkodliwe jest traktowanie tych czy innych obywateli radzieckich jako politycznie niepewnych z powodu ich przekonań religijnych”. I dalej: „...walka z religijnymi przesądami powinna być w obecnym okresie traktowana jako ideologiczna walka naukowego, materialistycznego światopoglądu ze światopoglądem antynaukowym, religijnym”. Walka więc w płaszczyźnie ideologicznej nie przekreśla współpracy w podejmowaniu i rozwiązywaniu problemów natury społeczno - politycznej. Przeciwnie, współpraca w zakresie wyżej wymienionym pozwoli na ściśle określenie granic konfliktu, nie dopuści do wynaturzeń tego sporu filozoficznego.

Zagadnienie funkcji społecznej wiary leży w płaszczyźnie dawania świadectwa Prawdzie. B. Piasecki w wyżej wymienionej przedmowie pisze: „Ontologiczne uwielbienie Boga... mierzy się nie intencją płynącą z wiary w Jego istnienie, ale wartością i wielkością wysiłku i wartości skutku tego wysiłku, czyli dzieła”. Znajduje się więc ten problem niejako w centrum doktryny Kościoła katolickiego w tym znaczeniu, że bez możliwości przesłędzenia wpływu doktryny na życie praktyczne trudno byłoby mówić o pełnej wartości Prawdy, a więc można by rozważać jedynie prawdziwość lub fałszywość pojęcia Boga bez żadnych konsekwencji społecznie sprawdzalnych tego pojęcia. Taka koncepcja zubożająca Prawdę byłaby sprzeczna z uniwersalizmem katolicyzmu i z tego powodu nie jest do przyjęcia pod żadnym warunkiem. Właściwie trudno nawet mówić o pojęciu wiary w Boga jako zespołu prawd objawionych i postawionych jako zadanie przed człowiekiem bez równoczesnego uwzględnienia wpływu tych prawd na życie ludzkie. I z tym na ogół ludzie się zgadzają. Rozbieżności mają miejsce dopiero przy okazji wyjaśniania sposobu i zakresu wpływu wiary na życie.

WPOTOCZNYM znaczeniu przez światopogląd rozumie się pewien zespół twierdzeń o charakterze dynamicznym odnoszących się do świata, człowieka, Boga, celu i sensu ludzkiego życia itp. Cechą szczególną tych twierdzeń jest to, że stanowią one motywy postępowania człowieka. Zastosowaniem światopoglądu są więc jednostkowe, konkretne decyzje życia codziennego oraz decyzje ogólne, wyznaczające główne kierunki dążeń człowieka.

Światopogląd katolicki jest ogólniej religijny, jest również zespołem twierdzeń o Bogu, świecie i człowieku, ale zespołem twierdzeń niejednorodnych. Jedne twierdzenia, czy jak się przyjęło mówić — prawdy o Bogu, świecie i człowieku zostały objawione człowiekowi w sposób nadprzyrodzony i podane do wiery przez samego Boga. Twierdzenia drugiego rodzaju, również odnoszące się do Boga, świata i człowieka są prawdami do jakich człowiek doszedł przy pomocy przyrodzonej władzy rozumu i które przyjmuje na zasadzie przekonania o ich prawdziwości, a nie jak twierdzenia pierwszego rodzaju, które uznaje się na zasadzie autorytetu Boga objawiającego. Ogólnie przeto można powiedzieć, że światopogląd katolicki składa się z dwóch elementów: wiary i wiedzy, jest syntezą tych dwu składników.

Aby lepiej zrozumieć pojęcie światopoglądu katolickiego warto jeszcze zająć się nieco bliżej składowymi częściami: pojęciami wiary i wiedzy.

O człowieku, który pod wpływem Łaski w oparciu o decyzję woli uznał rozumem Prawdę objawioną przez

Boga powiemy, że uwierzył. Wiara jest więc darem Łaski. Treścią wiary jest Prawda objawiona przez Boga i przekazywana ludziom w nauczaniu kościelnym. W naszych rozważaniach weźmiemy wyłącznie pod uwagę treść wiary, którą dla uproszczenia będziemy oznaczali po prostu słowem wiara.

Wiara w Boga Osobowego niesie z sobą między innymi nakaz czynienia ziemi poddaną człowiekowi oraz podstawowe prawo moralne: „Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej. To jest największe i pierwsze przykazanie. A drugie podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach całe Prawo zawisło i Proroctwo”. (Mat. 22, 37-40).

Te nakazy moralne normują w sposób jednoznaczny stosunek człowieka wierzącego zarówno do Boga i drugiego człowieka jak również do „ziemi”, świata, przyrody. Naczelnym obowiązkiem człowieka jest wypełnianie tego, co zostało przez Boga nakazane. W treści wiary mieści się przeto zobowiązanie do działania świadomego, działania podporządkowanego nakazom Boga.

Skoro wiara jest darem Łaski i w pojęciu wiary mieści się świadome działanie, to w procesie wiary następuje zespolenie czynnika nadprzyrodzonego — Łaski z czynnikiem przyrodzonym — świadomym działaniem, wzajemne wspieranie się, warunkowanie tych czynników. Można by powiedzieć, że im bliżej Boga człowiek żyje poprzez Łaskę tym jest silniejszy w wysiłku wyzwalania się spod władzy ziemi, im dalej posunął się w procesie opanowywania przyrody tym głębiej wiąże się ze Stwórcą. Zależność podobną można by ustalić również w stosunku do przykazania miłości bliźniego.

Warto jeszcze wspomnieć na tym miejscu słowa Chrystusa, w których mówi, że wiara bez uczynków jest martwa. Słowa te wyraźnie akcentują praktyczny aspekt wiary mającej się przejawiać w konkretnych działaniach, które mogą stanowić kryterium życia tej wiary. Zagadnienie wartości czynu i wartości jego skutku czyli dzieła nie jest problemem nowym. Wyróżnia się obiektywną oraz intencjonalną wartość czynu. Ażebym w pełni uczynić

zadanie kontynuacji zarówno dzieła Stworzenia jak i dzieła Odkupienia nie jest dopuszczalne kładzenie nacisku na obiektywną wartość czynu z pominięciem wartości intencjonalnej. Ale z drugiej strony uniwersalizm doktryny wymaga umiejętności przewidywania skutku czynu, a więc każe widzieć poza twórcą dzieła i Bogiem także społeczeństwo, każe widzieć dzieło także w jego odbiorze społecznym, historycznym. Dzieło może być dobre, gdy rodzi dobre skutki w stosunku do Boga, twórcy i społeczeństwa. Pod tym kątem należy również rozpatrywać uczynki żywej wiary. Ogólniej można powiedzieć przeto, że słowa Chrystusa obiektywizują zjawisko wiary akcentując jej funkcję społeczną oraz pośrednio wskazują na fakt, że w pojęciu wiary mieści się świadoma działalność człowieka.

ROZUM, stanowiący o wielkości i sile człowieka, potrafi wyszukać sposoby realizowania zadań postawionych człowiekowi w każdych warunkach czasowych i przestrzennych.

Dziełem rozumu jest wiedza — drugi obok wiary element światopoglądu katolickiego. Przedmiotem wiedzy może być Bóg, świat i człowiek. Wiedzę można zdefiniować jako zespół twierdzeń odnoszących się do określonej dziedziny rzeczywistości i praw rządzących tą rzeczywistością. Oprócz tak pojętej wiedzy istnieje wiedza jako umiejętność posługiwania się i wykorzystywania twierdzeń teoretycznych w życiu praktycznym. Taka umiejętność również wchodzi w skład pojęcia „światopogląd katolicki”.

Z tego wynika następująca konkluzja: wiedza jest koniecznym warunkiem wykonania zadań postawionych człowiekowi przez wiarę, jest niezbędnym narzędziem dla człowieka w jego praktycznej realizacji praw objawionych. Nakaz czynienia ziemi poddaną człowiekowi może być skutecznie wcielany w życie jedynie w oparciu o głęboką wiedzę przyrodniczą. Podobnie nakaz miłości bliźniego pozostanie tak długo pustym frazesem, jak długo nie oprze się na wszechstronnej wiedzy o bliźnich, wiedzy o społeczeństwie, bo drobne akty miłosierdzia są często tylko ucieszeniem sumienia a nie skutecznym przeciw-

działaniem obiektywnemu ziu społeczeństwu.

Ta prawda była bardzo ostro stawiana u Ojców Kościoła. Św. Jan Chryzostom w pracy „O kapłaństwie” wyraża się w ten sposób: „Choćby kto wykazywał wielką pobożność, która nie mało do godności kapłańskiej wnosi, nie śmiałbym go jeszcze wybrać (kapłanem — dop. mój), gdyby z pobożnością nie łączył wiedzy”. Kapłan bez wiedzy nie spełniłby swego zadania. Podobnie działacze świecki nie wyjdzie ze sfery dobrej woli dokąd w działaniu nie oprze się o właściwą dla tego działania wiedzę.

Struktura światopoglądu katolickiego wskazuje, że jest on zadaniem w dwojakim sensie. Raz dlatego, że wyznaczając człowiekowi kierunek jego doczesnego działania a posiadając w sobie elementy treści wiary objawionej, przyporządkowuje życie doczesne życiu wiecznemu. Niezmienną prawdę wiary i normy moralne zawarte w światopoglądzie ogarniają swoim zasięgiem całą sferę ludzkiego życia i domagają się podporządkowania tego życia Bogu. W drugim sensie światopogląd jest zadaniem dlatego, że domaga się ciągłego precyzowania wiedzy o rzeczywistości, w której prawdy wiary mają być realizowane. Rzeczywistość, zarówno fizyczna jak i społeczna, nie jest statyczna, proces jej kształtowania nie jest skończony. Stąd i wiedza o tej rzeczywistości nie może być czymś raz ukształtowanym i zamkniętym. Statyczne pojmowanie wiedzy groziłoby rozdźwiękiem między tym, co wiemy o przedmiocie badanym a samym przedmiotem. Ale wiedza poza tym warunkiem prawdziwości musi jeszcze spełniać warunek podktykowany przez obowiązek antologicznego uwielbienia Boga. Warunek ten mówi, że wiedza ma służyć doskonaleniu człowieka i świata przyrody, co jest formą uwielbienia Boga w porządku Stworzenia. Nie można jednak i tutaj pominąć intencji oraz warunkowań klasowych, społecznych historycznych. Wyzwolenie energii termojądrowej uczyniło z człowieka istotę bardziej doskonałą od tej, która posługiwała się drewnianą pałką; zwycięstwo to było nowym etapem w dziele doskonałego przekształcania świata przyrody. Ale to wielkie zwycięstwo posłużyło zarówno do zbudowania elektrowni o napędzie ato-

mowym jak również do zastosowania siły atomowej w niszczycielskich środkach masowej zagłady. Wiedza może służyć człowiekowi ale może też być zastosowana do jego zagłady.

Stąd też sensowne będą następujące wnioski:

1. światopogląd katolicki jest zmienny, dynamiczny ze względu na zmienność i uwarunkowania społeczne jego elementu — wiedzy. Mimo, że prawdy wiary tkwiące w światopoglądzie są niezmiennie to jednak zmienia się sposób ich realizacji zależnie od zmieniającej się wciąż rzeczywistości i wiedzy o tej rzeczywistości.

2. obiektywnie ten wypełnia prawa objawione przez Boga pełniej i skuteczniej kto działa w oparciu o większą, prawdziwą wiedzę. Działanie mające świadczym o życiu wiary zmienia się bowiem w zależności od zmieniającej się wiedzy o przedmiocie, który jest ośrodkiem tego działania.

Charakterystyka światopoglądu katolickiego pozwoli nam na trafniejsze sprecyzowanie pojęcia inspiracji światopoglądowej. Jeśli nie chcemy się zgodzić ze stwierdzeniem, że światopogląd religijny nie pozostaje w związku z działaniem ludzkim, a więc także z zaangażowaniem się w pracę społeczno-polityczną katolików jako z jednym przejawem działania w ogóle, to musimy związek ten możliwie ściśle sprecyzować.

WYZEJ przeprowadzona analiza pozwoliła nam w światopoglądzie katolickim wyróżnić elementy doktrynalne i pozadoktrynalne. O ile więc istnieje związek światopoglądu z formami działania człowieka, to w związku tym spełniają jakąś rolę wyróżnione elementy. Jaka jest rola tych elementów w wyborze np. formy ustroju socjalistycznego? Inna jest w wypadku czynników religijnych zawartych w światopoglądzie a inna w wypadku czynników pozareligijnych. Gdyby elementy religijne stanowiły bezpośrednią rację wboru to trzeba by się zgodzić, że i religia może być racją wyboru stanowiska politycznego czy każdego innego. Jest to jednak droga fałszywa i potępiona przez Kościół. Doktryna z racji swej niezmienności i transcendencji nie może służyć do uzasadnienia konkretnej, historycznej decyzji. (Dokończenie na str. 2)

STANISŁAW GROCHOWIAK

Święty Szymon Słupnik

Powolał go Pan
Na słup.
Na słupie miał dom
I grób.

A ludzie chłopaka na szafot przywieśli,
Unieśli mu głowę w muskularnej petli,
Powolał go Pan
Na stryk.

Powolał go Pan,
By trwał.
By śpiewał mu pieśń
I pieśń.

A ludzie dziewczynę z rozpaczą gwałcili,
I włosy jej ścięli, i ręce spalili,
Powolał ją Pan
Na gnój.

Powolał go Pan
Na słup.
Na słupie miał dom
I grób.

A ludzie mych wierszy słuchając powstają,
I wilki wychodzą żerując zgrają —
Powolał mnie Pan
Na bunt.

Kino wiejskie

„Hamleta” dawano nam w kinie
Pod wielkim nawisem jabłoni.
Patrzyli chłopcy w głąbinę
Melancholii.

Potem przez wrzozy — przez strużki
Do chat skradali się cicho,
I po raz pierwszy całowali nóżki
Zdumionym kobitom.

A chłopcy wieczorem nad rzeką
Z wargami przy wodzie leżeli...
Patrzyli jak dziwnie, jak lekko
Płyną włosy głupiej Ofelii.

Magnolie

O magnolie, o kwiaty o gorących pyszczkach,
Chętlive myszki polne wiszące na drzewach —
W waszych czerwonych brzuszkach szampań się przelewa
I słodko sobie drzemie pijanica liszka.
Wy jesteście okrutny zbławowanych żuków,
Podejrzone żaglowce, nocne pyroszkafy
Przemysłników owadziach, tępych zbójbruków,
Którzy przeszli w swym życiu wszelkie auto-dafę
I gdy księżyc wspaniałą całuje was w wargi
Jak kochanek dziewczynę spotkaną po latach,
W waszym wnętrzu wrą burdy, klótnie i zatargi:
Jeden pirat zagryza drugiego pirata.

Nasz Bóg jest dobry, Anno?
Nasza noc jest cicha: Anno?
Ten wiatr, co obraca piaseczkiem na gałęzi,
Nie przynosi burzy, Anno?

A czy nikt o mnie nie pytał, Anno?
Nie było nudnych i złych, Anno?
Powiedz mi, Anno, czy kochasz mnie, Anno?
Bo w nocy padał deszcz
I krzyczała sowa...

(Z cyklu „Zona”)

Oczekiwanie

Ani słowa. Nie wyrąbiesz.
Kilof — pióro.
A tu wiatr na wielkiej trąbie
Jedzie górą.
A tu Panny i Bliźnięta.
Wielkie plugi.
I pieluszka już rozpięta
Do żeglugi.
Och, syneczku, O, córeczko,
O nieznanu.
Płynie sobie me pióreczko
Do przystani.
A w przystani siedzi żona
Nastrożona.
I przyciska mnie do łona,
Zgłupiałego Posejdana
Zona... żona.

(Z cyklu „Zona”)

Dm 191052

NIEMCY ZACHODNIE W systemie układów paryskich z 1954 r. (I)

81

WYDAJE się, że bez przesady można określić 1955 r. jako rok zwycięstwa jak r. 1945. Jakie wydarzenia decydują o niezwykłej wadze roku 1955 — patrząc z perspektywy obecnej chwili? W odpowiedzi na to pytanie trzeba podkreślić, że jest to przede wszystkim rok obrachunku z dziesięcioleciem wykonywania takich fundamentalnych umów międzynarodowych — jak umowy jaltańska i poczdamska. Są to przecież dwie zasadnicze umowy międzynarodowe, zawierające program powojennej odbudowy Europy, a zwłaszcza zawierające program regulowania zagadnienia Niemiec. Jest to dalej rok wejścia w życie układów paryskich z 1954 roku. Jest to wreszcie rok wejścia w życie układu warszawskiego z 14 maja 1955 r.

Aby zrozumieć doniosłość tych wydarzeń — trzeba sobie uświadomić pokrótce, o co właściwie chodzi się walczyć.

Bilans dziesięciolecia umowy jaltańskiej i poczdamskiej przypomina fakt, że zarówno podczas drugiej wojny światowej, jak i po jej zakończeniu trzy mocarstwa miały w wielu sprawach jednakową opinię i wspólne poglądy. Na podstawie bowiem wspólnych poglądów zrodził się program regulowania Niemiec — i dzisiejszych wydarzeń nie można rozpatrywać w oderwaniu od tego faktu. Cztery mocarstwa nie były zresztą, wyłącznymi dysponentami polityki międzynarodowej na odcinku Niemiec. Istnieje przecież zobowiązanie międzynarodowo-prawne tych czterech mocarstw z dnia 5 czerwca 1945 r. na temat konsultacji mocarstw okupacyjnych w Niemczech z innymi państwami — zwłaszcza bezpośrednio zainteresowanymi. Jeśli chodzi o układy paryskie z 1954 roku, to ich związek z Jaltą i Poczdamiem jest oczywisty. Te układy zmierzają bowiem nie tylko do jednostronnego uregulowania problemu Niemiec na przyszłość, lecz chcą one regulować również wiele zagadnień z zakresu Niemiec wstecz — nawiązują one przecież do szeregu zagadnień neutralizacyjnych, wynikających ze stosunku do Niemiec zarówno bezwarunkowej kapitulacji, jak i z faktu dziesięcioletniej okupacji Niemiec. Układy paryskie — według koncepcji mocarstw zachodnich — mają w sposób bezpośredni, faktyczny, a częściowo nawet formalny podierać najbardziej podstawowe założenia um

owemu poczdamskiej. Przywrócenie równowagi międzynarodowej, zachwianej przez układy paryskie z 1954 r. jest dziełem, do którego zmierzają układy warszawski z 1955 r. Nie po raz pierwszy w historii powojennej, państwa obozu pokójki wzięli na siebie tak ciężkie, lecz zarazem tak doniosłe i wzniosłe zadanie. Nie po raz pierwszy słysząc na tym odcinku głos państw obozu pokójki, głos, który mówi, że nie należy udawać, iż między mocarstwami nie istnieje zagadnienia sporne. Jednocześnie głos ten wskazuje na mocarstwa odpowiedzialne za istnienie zagadnień spornych i formułuje drogi wyjścia z trudnych sytuacji.

Ujmując krótko sytuację międzynarodową w Europie trzeba stwierdzić, że sprowadza się ona do faktu istnienia nienaturalnego podziału Niemiec. Z tego faktu wypływają dalsze konsekwencje — wprężenie Niemiec zachodnich do bloku państw imperialistycznych i przygotowań wojennych oraz odbudowa Wehrmachtu w Niemczech zachodnich. Czego chcą w związku z tym państwa obozu pokójki? Chcą wycofania wojsk okupacyjnych z terytorium Niemiec, celem zmniejszenia napięcia w stosunkach międzynarodowych. Dalej, chcą zawarcia między państwami europejskimi układu o bezpieczeństwie zbiorowym, obejmującego wszystkie państwa europejskie — w tym przejściowo oba państwa niemieckie. Chcą więc, krótko mówiąc, jak najrychlejszego uregulowania problemu niemieckiego, zgodnie z wymogami bezpieczeństwa i pokoju w Europie.

Wychodząc z tego ujęcia istoty sytuacji międzynarodowej w Europie, należy z kolei zarysować obie strony tego zagadnienia. Stroną agresji — reprezentowaną przez układy paryskie z 1954 r., oraz stronę pokoju — której dotychczasowym punktem kulminacyjnym jest układ warszawski z 1955 r. Rozważmy te dwa zagadnienia.

Jest rzeczą niemożliwą szczegółowe omówienie całej problematyki tych układów, jakie określa się terminem — układy paryskie z 1954 roku. Warto sobie jednak uświadomić zagadnienie ilościowe tych układów. Reprezentują one aparat formalny niezmiernie skomplikowany. Nie cały mechanizm tego aparatu jest jeszcze ujawniony, nie

wszystkie teksty układów, protokołów itp. załączników są dostępne lub opublikowane. To, co jest już dostępne przedstawia się następująco: w okresie 19 — 23 października 1954 r. odbyły się w Paryżu cztery konferencje, których rezultaty określone są jako układy paryskie z 1954 roku. Oto ich treść:

1) Konferencja między Niemiecką Republiką Związkową i Francją — jej wynikiem są układy dotyczące Zagłębia Saary oraz stosunków niemiecko-francuskich;

2) Konferencja trzech mocarstw zachodnich i Niemieckiej Republiki Związkowej — jej wynikiem jest tzw. protokół o zakończeniu stanu okupacji Niemiec zachodnich. Do tego protokołu dodano szereg załączników, które regulują takie zagadnienia, jak: stosunki między trzema mocarstwami zachodnimi i Niemiecką Republiką Związkową, sprawa uprawnień i obowiązków obojczy sił zbrojnych na terytorium Niemiec zachodnich, układ finansowy dotyczący udziału zachodniopolskiego w zbrojeniach, układ regulujący zagadnienia wynikające z wojny i okupacji Niemiec zachodnich itd.;

3) Konferencja dziewięciu państw dotychczasowej redakcji Paktu Brukselskiego oraz tzw. Unii Zachodnio-Europejskiej — jej wyniki ujęte zostały w załącznikach określających poziom sił zbrojnych zainteresowanych państw, zagadnienia kontroli nad zbrojeniami, utworzenie tzw. urzędu dla kontroli zbrojeń Unii Zachodnio-Europejskiej itd.;

4) Wreszcie konferencja 15 państw, podczas której podejmowano decyzje w sprawie Organizacji Paktu Atlantyckiego (NATO). Ścisłe mówiąc, w tej konferencji brało udział 14 państw, piętnaste bowiem — Niemiecka Republika Związkowa występowała wówczas w roli obserwatora, nie będąc jeszcze członkiem tej organizacji. Wynik tej konferencji zawarty został w końcowym protokole, zapraszającym Niemiecką Republikę Związkową do członkostwa w NATO oraz w licznych rezolucjach, regulujących zagadnienia szczegółowe tego bloku militarnego mocarstw zachodnich.

To krótkie wyczerpanie zespołu decyzji, jakie zapadły w tym okresie, podczas wymienionych wyżej czterech konferencji międzynarodowych w Paryżu, posiada zapewne dostateczną wymowę i zważnia obowiązek komentowania. Trzeba tutaj podkreślić tylko, że te konferencje odbyły się wprawdzie w 1954 roku, lecz układy paryskie przechodziły przez dyskusje ratyfikacyjne i weszły w życie w 1955 roku.

Elementem przywrócenia równowagi międzynarodowej, która ma ulec — według projektów amerykańskich — złowrogemu zwężeniu przez układy paryskie z 1954 r., jest układ warszawski podpisany 14 maja br. w Warszawie; układ

ośmiu państw o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej. Układ ten stanowi zwycięstwo polityki pokojowej. Warto wszakże podkreślić, że mimo bardzo poważnych osłabień, wynikających z układu warszawskiego, nie należy sądzić — jak to podkreślała „Trybuna Ludu“ w artykule wstępnym, poświęconym omówieniu momentu wejścia w życie układu warszawskiego — że „walka jest już wygrana, lub prawie wygrana, że sytuacja, w jakiej znajduje się świat na skutek polityki imperializmu, nie kryje już więcej niebezpieczeństw“. W związku z tym słusznie podkreśla się, że groźba dla pokoju istnieje nadal, że rządy państw zachodnich właśnie teraz, gdy jeszcze mocniej i bardziej konkretnie niż dotąd zarysowuje się możliwość rękawicy w sprawie pokojowego zjednoczenia Niemiec — przyspieszają remilitaryzację Niemiec zachodnich. Dążą one do tworzenia faktów dokonanych, które by uniemożliwiły przekreślenie układów paryskich i oderwanie się Niemiec zachodnich od agresywnej polityki Atlantyku. Układ warszawski jest modelem dla systemu ogólnoeuropejskiego układu o bezpieczeństwie zbiorowym — układ ten niewątpliwie przekona wszystkie inne państwa europejskie do tych zasad, jakie jednoczą osiem państw, będących dotąd jego stronami. Przede wszystkim zaś układ ten jest mobilizacją sił do walki z fatalnymi skutkami układów paryskich z 1954 r.

Należy tutaj dodać, że walka przeciwko układom paryskim z 1954 roku trwa i wzmacnia się. Przybiera ona różne rozmiary i nosi różne cechy w zależności od tego, w jakiej płaszczyźnie walka się toczy. Patrząc na tę walkę z perspektywy najbardziej chyba istotnej dla pokoju i bezpieczeństwa świata — z perspektywy stosunków między czterema wielkimi mocarstwami — trzeba powiedzieć, że jednym z najbardziej zasadniczych ogniw tej walki jest przygotowywane spotkanie szefów czterech mocarstw, w celu odbycia rozmów na temat złagodzenia napięcia międzynarodowego. W perspektywie przygotowano, również i naszej opinii, do tego spotkania warto skupić uwagę na węższej problematyce układów paryskich z 1954 roku — są to bowiem zagadnienia decydujące o bezpieczeństwie i pokoju w Europie.

Z tego względu wydaje się rzeczą celową rozważenie tej problematyki węższej w serii artykułów, naświetlających nie tylko formalną stronę różnych zagadnień, regulowanych przez układy paryskie z 1954 r. Warto poddać głębszej analizie węższe zagadnienia stosunków europejskich, zarówno od strony formalnej — jak zwłaszcza merytorycznej, w ścisłym powiązaniu ze stosunkami międzynarodowymi i prawami rozwojowymi, jakie rządzą tymi stosunkami.

Alfons Kłafkowski

Książka Arcybiskup Metropolita Dr Romuald Jałbrzykowski

Zasnął w Panu dnia 19 czerwca 1955 roku w Białymstoku. Ekspozycja zwłok odbyła się we środę dnia 22 czerwca o godz. 16.30. Po Mszy św. i modlach żałobnych zwłoki zostały złożone do grobu w prokatedrze.

ŚWIATOPOGLĄD I POLITYKA

(Dokończenie ze str. 1)

stycznej formy ustrojowej. Ale z faktu niezmienności i transcendencji doktryny nie można wyciągać wniosku o jej obojętności czy neutralności stosunku do zła i dobra społecznego na świecie w dużej mierze zależnego właśnie od formy ustrojowej. „Racja doktrynalna katolicyzmu sprawiła — pisze B. Piasecki — że w każdej epoce funkcja społeczna katolicyzmu powinna wspomagać historycznie najbardziej sprawiedliwą postawę społeczno-polityczną“. Doktryna więc nie uzasadnia choćby najbardziej sprawiedliwej formy ustroju natomiast implikuje działanie wspierające taką właśnie formę czy postawę społeczno-polityczną. Nakaz miłości jest nakazem danym człowiekowi do realizacji w każdej chwili jego życia. Doktryna przeto stawia tylko przed człowiekiem cel nie dając żadnych określonych form jego realizacji. Zagadnienie form czy sposobów realizowania celu jest zagadnieniem pozadoktrynalnego elementu światopoglądu katolickiego — wiedzy. Wiedzy, która trzeba wiedzieć w jej uwarunkowaniu klasowym, historycznym. I tylko to może nam wyjaśnić dość paradoksalną sytuację, w której katolicy opowiadają się za taką lub inną formą ustroju społeczno-gospodarczego w określonym momencie historycznym twierdząc przy tym, że skłaniają ich do tego przesłanki światopoglądu katolickiego. Decydującym bowiem momentem w wyborze formy działania społecznego jest wiedza. Fałszywy wybór stanowiska politycznego nie obciąża doktryny lecz wiedzę ludzi dokonujących wyboru. Stąd decyzja opowiedzenia się za socjalizmem jest wynikiem wiedzy, że ta forma społeczno-polityczna jest historycznie najbardziej sprawiedliwa.

Inspiracja światopoglądu katolickiego może więc być potężną siłą uzdalającą rzesze ludzi wierzących do budowy sprawiedliwego systemu życia społecznego. Podobne walory posiadała inspiracja światopoglądowa w odniesieniu do innych zjawisk życia ludzkiego.

Decyzja ruchu społecznie-postępowego katolików polskich uczestniczenia w rewolucji socjalistycznej jest podyktowana troską o podwyższenie poziomu moralnego

objawionym ludziom przez Boga w taki sposób, że o tym podporządkowaniu świadczą mają subiektywne intencje oraz obiektywne dzieła. Bez subiektywnej intencji spełnienia woli Bożej ruch stracił by swój związek z katolicyzmem. Bez tworzenia obiektywnych dzieł ontologicznie wielbiących Boga ruch straciłby z kolei związek z obozem postępu historycznego oraz potwierdzałby tezę o anemii społecznej katolicyzmu. W imię potwierdzenia uniwersalizmu doktryny w pracy ruchu musi być zachowana dwutorowość działania. Ten rodzaj działania wiąże się w sposób ścisły z troską o los Kościoła w historii oraz z wysiłkiem stwarzania postępowej funkcji społecznej wiary w Boga.

Z powyżej przeprowadzonej analizy inspiracji światopoglądowej wynika, że elementy treści wiary mają określony wpływ na życie ludzkie, na formy społeczne tegoż życia. Stąd można mówić także o funkcji społecznej religii. B. Piasecki pisze: „Racja doktrynalna katolicyzmu sprawiła, że w każdej epoce funkcja społeczna katolicyzmu powinna wspomagać historycznie najbardziej sprawiedliwą postawę społeczno-polityczną“. Funkcja społeczna katolicyzmu powinna więc wspomagać te siły społeczne w historii, które dążą w kierunku doskonałego przekształcania zarówno świata przyrody jak i świata społecznego. Wspomagać to jest uczestniczyć w ontologicznym uwielbieniu Boga oraz wzbogacać to uczestniczenie o intencje wielbienia Boga. I dalej: „...skoro katolicyzmu traktuje całą historię ludzkości jako wywiązanie się z zadania kontynuacji działalności Stwórcy, to powinien tkwić zawsze w kierunkach rozwojowych tendencji społecznych. Niezależnie od trudności światopoglądowych, obiektywnym sojusznikiem misji chrześcijaństwa w stosunku do świata są te siły, które w każdej epoce historycznej walczą z zacięciem społecznym, walczą z intelektualnym i materialnym upośledzeniem człowieka“.

Z racji dynamicznego charakteru tendencji społecznych i z racji wpływu doktryny na formy działania społecznego, w sensie wyznaczania celu i dostarczania motywów, nie można mówić o stałym charakterze funkcji społecznej religii katolickiej. Dlatego niezasadnione jest obrona określonej funkcji społecznej katolicyzmu przez odwoływanie się do racji religijnych. Natomiast słuszną jest krytyka konkretnej funkcji społecznej wiary w Boga w oparciu o przesłanki pozareligijne, w oparciu o wiedzę społeczną, o prawa rządzące rozwojem społeczeństwa. „Dzięki socjalizmowi — pisze B. Piasecki — wszyscy ludzie dobrej woli, a więc i ludzie wierzący, przestają być małuczkami i prostaczkami w zakresie rozumienia i możliwości kierowania procesami społecznymi. Dlatego z poczuciem godności uniwersalizmu chrześcijańskiego, ale jednocześnie z poczuciem zdrowej krytyki funkcji społecznej katolicyzmu w czasach nowożytnych, należy stwierdzić, że socjalizm pomógł i obiektywnie wspiera odrodzenie rewizji funkcji społecznej katolicyzmu“.

Funkcja społeczna religii jest świadectwem danym Prawdzie w określonym czasie i miejscu, jest „uczynkiem“, który świadczy o życiu wiary i z tej racji podlega ocenie według tych samych kryteriów jakie stosuje się do każdego skutku działania rozumowego.

W świetle wszystkich tych uwag przedstawionych szkicowo w toku artykułu nabierają pełniejszego sensu bardzo ogólne stwierdzenia zawarte we wstępie:

1. światopogląd leży u podstaw każdego działania świadomego katolika i działanie to inspiruje.
2. światopogląd pozostaje w związku z wyborem stanowiska za socjalizmem a przeciwko kapitalizmowi.
3. stwarzanie postępowej funkcji społecznej religii wiedzie do umacniania autorytetu tej religii w nowej epoce.
4. stworzenie postępowej funkcji społecznej religii sprowadzi dialog z materialistami filozoficznymi kierującymi rewolucją proletariacką wyłącznie do sporu filozoficznego.
5. uniwersalizm katolicyzmu w pełni może się przejawiać z chwilą uwielbienia Boga nie tylko w porządku intencjonalnym ale i ontologicznym.

Z łącznego rozumienia tych stwierdzeń może wynikać i wynika służba Kościołowi w nowej epoce i służba sprawie socjalizmu.

Sylwester Zaleski

ORGANIZACJA POTRZEBNA

WOLA zwycięstwa i pragnienie trwałego pokoju. Te dwa uczucia były wspólne wszystkim narodom walczącym z faszyzmem w II wojnie światowej. Wola zwycięstwa doprowadziła do kapitulacji Niemiec 9 maja 1945 r. Szóstego tygodnia później pragnienie pokoju znalazło wyraz w wielkiej kartce nadziei. Ustalała ona planowo przez cały okres walki zasady współpracy międzynarodowej, deklarowane w Moskwie, Teheranie i Jaltie sformulowano ostatecznie na konferencji w San Francisco. „My, Ludy Narodów Zjednoczonych, zdecydowane uchronić przyszłe pokolenia od przekleństwa wojny, która dwukrotnie w naszym życiu przyniosła niewywołane cierpienia ludzkości... i w tym celu stosować tolerancję i współżycie ze sobą jak dobrzy sąsiedzi, oraz zdecydować nasze siły dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa i zapewnić, aby siła zbrojna nie była w użyciu... ustanawiamy niniejszym międzynarodową organizację Narodów Zjednoczonych“.

Wielki wpływ do wywołania i dokonania dzieła tego celu; założono podwaliny pod szeroką światową współpracę gospodarczą; potwierdzono prawo narodów niesamodzielnych do uzyskania niepodległości i możliwości postępu gospodarczego. Dokument ten, zawierający najbardziej postępowe zasady współczesnego prawa międzynarodowego, rokował o ogromną nadzieję — nadzieję o wiele bardziej uzasadnioną, niż te, które po I wojnie budziła wilsonowska Liga Narodów.

I może dlatego, że tak wiele spodziewano po nową organizację światową, że jej Karta dawała wszelkie możliwości perspektywicznego rozwoju międzynarodowego, smutno jest robić bilans małych osiągnięć, bo tak trzeba nazwać przegląd pierwszego dziesięciolecia ONZ. Nie miejsce tu zresztą na podrobną podsumowanie; wyda je pewnie Sekretariat ONZ w krótkim tomie. Warto jednak spojrzeć na przyczyny tak miernych rezultatów. Nie trudno je znaleźć: do dziesiątego lat życia Organizacji ilustruje, że narządy dobrze starożytności, że nie pomogą najlepsze sformułowania, gdy nie ma woli wypełniania ich w dobrej wierze. A tej woli zabrakło Stanom Zjednoczonym i ich satelitom już przy starcie. Gdy przetrzymamy sprawozdania sesyjne, ukazuje się nam, jak w piekielnym panoplicum, wszystkich arkana wielkiej dywersji, wielkiego spisku przeciw pokojowi. Czasem jest to jawne pogwałcenie przepisów Karty; tak było z quasi-rezolucją Rady Bezpieczeństwa podjętą pod nieobecność przedstawiciela ZSRR, w której określono Koreę pin. jako napastnika. Czasem — fałszywa, zonglerska interpretacja nie zawsze ścisłych postanowień Karty; tak drogą ustanowiono separatystyczne, kadłubowe tzw. „male zgrupowanie“, które miało wykonywać uprawnienia Zgromadzenia Ogólnego, a w którym nie było krajów obozu pokójki; tą też drogą

nie dopuszczają się od lat kilkunastu państw do udziału w ONZ. Czasem wreszcie posługują się metodą „człowiek w wielkim lub blaskim dżentelnie; kiedy np. omawiano radziecki projekt definicji agresji — sprawa niezwykle ważna dla utrzymania pokoju i pokoju w świecie — w wieloletnim, napastnika, delegat amerykański, John Cabot Lodge, powiedział, że agresja jest jak piękna kobieta: każdy ją rozpozna, ale nikt nie potrafi zdefiniować“.

Nie można się chyba dziwić, że przy tych metodach Stanów Zjednoczonych, w warunkach utrzymania przez nie mechanicznej większości w Zgromadzeniu Ogólnym i w paradyksalnej sytuacji, gdy w najważniejszym organie — w Radzie Bezpieczeństwa — od sześciu lat nie zasiada przedstawiciel jednego z wielkich mocarstw — Organizacja Narodów Zjednoczonych ma tak mało pozytywnych osiągnięć na swoim koncie, a niejednokrotnie decyduje jej sprzeniewierza się własnemu statutowi. Czy jednak ONZ nie spełnia żadnej dodatniej roli? Czy jest bezużyteczna, zepsutym narzędziem, które warto by odesłać do rupeciarzki muzeum historii politycznej światła?

Już wartość samej Karty ONZ, jako dokumentu potwierdzającego najszlachetniejsze dążenia ludzkości, jako zwiastującej nielegalność montowanych na Zachodzie agresywnych paktów, każe nam dać odpowiedź przeczącą. Co ważniejsze jednak, żywa Organizacja stanowiła pewnego rodzaju stałe forum spotkania się dwu obozów, forum ważne, a w niektórych okresach „zimnej wojny“ jedyne. Można się chyba całkowicie zgodzić pod tym względem z oceną, jaką dał londyński „The Times“ w jesieni zeszłego roku w związku z rozpoczęciem IX sesji Zgromadzenia: „Zielona kurtyna Zmierzających od Zachodu uchyliła się wreszcie w Nowym Jorku, gdzie co roku Zgromadzenie Ogólne ONZ narzuca mocarstwom koegzystencję, zarówno w praktyce jak i w teorii... Ołbrzymi gmach nad rzeką Hudson tworzy szeregowe w kurtynie, a zewnątrz tam meżowie stanu nie tylko mówią o współistnieniu, ale w praktyce go wypróbowują“. Wreszcie, ONZ stanowiła forum, z którego przedstawił obozu postępu zwracała się do całego świata, wykażując swoje szczerze pragnienie pokoju i ujawniając machinacje bloku amerykańskiego; a sprawozdaniem skuteczności ich wystąpienia może być stałe zmniejszanie się „mechanicznej większości“.

Jubileuszowa sesja ONZ zrodziła się pod dobrą gwiazdą; ministrowie spraw zagranicznych wielkiej czwórki mają w czasie jej trwania uzgodnić termin i miejsce konferencji, z której przedstawił obozu postępu zwracała się do całego świata, wykażując swoje szczerze pragnienie pokoju i ujawniając machinacje bloku amerykańskiego; a sprawozdaniem skuteczności ich wystąpienia może być stałe zmniejszanie się „mechanicznej większości“.

STEP.

O wzajemne poznanie i zbliżenie młodzieży różnych krajów

LIST Z LIMY

To ciebie powinno zainteresować — z tymi słowami mój kolega z Międzynarodowego Komitetu Przygotowawczego, młody i sympatyczny Kubańczyk, wręczył mi niewielką kartkę papieru. „To“ było dla mnie, już na pierwszy rzutek, rzeczywiście interesujące, chociażby przez okoliczność, że tekst był hiszpański, co stawiało mnie w sytuacji niemal analfabety. Atrakcyjność wręczonego mi listu polegała — w opinii mego kolegi, ze swoistym wdziękiem łączącego płynną francuszczyznę z typową hiszpańską wymową — na czymś zupełnie innym. Mianowicie autorką listu była młoda 21-letnia studentka Uniwersytetu Katolickiego w Limie (jeśli wierzyć szkolnym atlasom, stolicy południowo-amerykańskiej republiki Peru). Moje zakopotanie i zarazem ciekawość sięgnęły zentuzju, jako że zasób wiedzy o Ameryce Łacińskiej, a zwłaszcza o katolicyzmie tamtejszym, posiadam raczej szczupły.

Cóż, w gruncie rzeczy wie się u nas o tym kontynencie? Tyle co, nie, albo trochę więcej ponad to. No, oczywiście słyszano się coś tam o Aztekach w dziesięciu Meksyku, o Inkach w Peru (właśnie w „moim“ Peru), o ich legendarnym bogactwie i blasku wcale nie prymitywnej kultury. Potem był Korleż i inni ówczesni kulturtraegerzy, rabuneki, rzęź i nowa cywilizacja. Wielkie, bajeczne imperia kolonialne Hiszpanii i Portugalii, oraz równie legendarne redukcje paraguayskie — próba zrealizowania jeszcze jednej utopii ustrojowej. A dzisiaj? zachowało się określenie „panama“ (oczywiście od skandalu panamskiego), Gwatemala stała się synonimem brutalnej ingerencji Waszyngtonu, brazylijską kawę kupuje się w „Delikatnie“, wreszcie żywo reagujemy na meksykańskie marlarstwo. To chyba wszystko, z dopuszczalną na tym miejscu przesadą.

Weźmy do ręki atlas (bodaj na-

wet ów wysłuchany szkolny atlas sprzed... nastu czy... dziesięciu lat) i spojrzmy na mapę zamorskiego kontynentu — od Meksyku po Argentynę. Czy potrafimy wytworzyć sobie obraz tego wielkiego terytorium, dwakroć większego od Europy, dziesięćkroć rzadziej od niej zaludnionego, kontynentu kryjącego w swym wnętrzu ogrom niezrealizowanych możliwości ekonomicznych? Skąd różnorodność krajobrazów — od pustyni meksykańskiej, przez puszcze Amazonki i wieczny śnieg, na sięgających 7 tysięcy metrów szczytach Andów, po bezkresne pampasy Argentyny? Czy potrafimy wypełnić zaznaczone na mapie granice poszczególnych państw trzęsącą pulsującą życia narodów, codziennych walk i zwycięstw, i nadziei i żałama?

Ze to jest patetyczne — powiadać — a więc młode? Może, ale nie, o to przecież chodzi. Myślę o tym, jak bardzo konkretną treść zawierało hasło Festiwalu: „O wzajemne poznanie i zbliżenie młodzieży różnych krajów“. O tym, że już podczas przygotowań do Festiwalu — odbywających się w Ameryce Łacińskiej w warunkach zpoła różnych od naszych — następuje akt tego szlachetnego zbliżenia. Młodzież Ekwadoru organizuje wieczerę ku czci Mickiewicza z okazji roku mickiewiczowskiego. Młoda Peruwianka we wspomnianym już liście wyraża serdeczne życzenie poznania naszego kraju, naszej młodzieży, naszego życia — spraw dla niej egzotycznych. W Argentynie i Boliwii, w Chile i Meksyku — jak świadczy liczna korespondencja Komitetu Przygotowawczego — zainteresowanie naszym krajem, jego historią i współczesnym życiem jest bodaj tak wielkie jak nigdy. To jest wielka, niezaprzeczalna szansa. Oczywiście, szansa oboustronna i tak też trzeba ją pojmać.

Wróćmy jeszcze do naszej Peruwianki. Jej list sygnalizuje nam problematykę życia katolickiego w

Ameryce Łacińskiej. Wiemy o niej bardzo niewiele. Ogólna atmosfera mocno konserwatywna, nawet bardziej feudalna niż liberalno-mieszczkańska. Tendencje społecznie postępowe, nieśmiałe i wręcz potępiane oficjalnie. Wspomniany mój kolega amerykański opowiadał mi wstrząsające historie o terrroze moralnym, któremu poddani są np. młodzi katolicy na Kubie usiłujący wyjść z ciasnego getta katolickiego i oderwać się od panującej w nim atmosfery konserwatywnej i antyliberalnej. Wyjątek stanowią Chile, Paragwaj, gdzie w Komitetach festiwalowych uczestniczą oficjalnie przedstawiciele młodzieży katolickiej. Przewodniczącym Komitetu Krajowego w Chile jest nawet znany działacz katolicki deputowany Pedro Videla, a w Paragwaju w Krajowym Komitecie Festiwalowym zasiada p. Echauri, założyciel katolickiej organizacji młodzieży robotniczej.

To są okruczki wiedzy. Ramy ogólne są znane: zacytujemy, na pół feudalny ustroj społeczny i ekonomiczny, mniej lub więcej jawne formy dyktatury lub półdyktatury wojskowej — faszyzowskiej, presja polityczna i finansowa Stanów Zjednoczonych. To są ramy, tylko ramy. Żywa, ludzka treść, wypełnią ją, możemy mieć nadzieję, sierpniowe spotkania z młodymi Meksykankami i Chilijczykami, Brazylijczykami i Kubańczykami, którzy przyjadą na Festiwal. I to nie tylko w dniu wielkiego ogniska wszystkich narodów Ameryki Łacińskiej, poświęconego tradycjom zesłowieńskich walk narodowo-wyzwoleńskich i współczesnemu życiu młodzieży tych krajów. Kontaktów będzie wiele, okazje będą co dnia. Umiejmy je dobrze wykorzystać. Myślę, że to w konkretny sposób pogłębi nasze pojmowanie idei internacjonalizmu, idei przyjaźni i współpracy młodzieży wszystkich krajów — w walce o jutro i inne i pewne.

I. tem

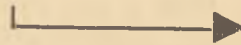
LIBERIA — wolna republika?



Luksusowy budynek w stolicy Liberii Monroviu....



....kontrastuje z prymitywem życia 90 proc. ludności zamieszkującej tzw. teren Interioru.



Czy styszeliście o pięćdziesiątym stanie amerykańskim w Afryce? Czy styszeliście o Interiorze liberyjskim? Czy styszeliście o firmie Rubber Co. i poolu kolonialnym? Czy wiecie co to znaczy: freeborn of coloured gentleman? Jeżeli nie, to posłuchajcie.

DZIWIWA HISTORIA

W PIERWSZYCH latach ubiegłego stulecia, kiedy wybrzeża Afryki były jeszcze „niczyje”, grupy Murzynów amerykańskich, obdarowanych wolnością po zniesieniu niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych, zaczęły opanowywać nadbrzeżne obszary dzisiejszej Republiki Liberyjskiej. Byli wśród nich z pewnością i ci, którzy wracali do ziemi swych przodków wywiezionych przez handlarzy niewolników w ciągu dwóch ubiegłych stuleci. Grupy te, przy poparciu rządu USA, stopniowo opanowały wybrzeże i stały się założycielami dzisiejszej Republiki Liberii. Zniesienie niewolnictwa wytworzyło w Stanach kilkuset tysięcy grupę czarnych obywateli, która teoretycznie uzyskała całkowite równoprawienie z pozostałą ludnością. Długoletnia jednakże nierówność społeczna pomiędzy białymi „panami” i niewolnikami nie dała się zniwelować przy pomocy jednego aktu prawodawczego. Powstała w tym czasie organizacja filantropijna, która zwróciła uwagę na zachodnie wybrzeża Afryki, które jako ojczyzna przodków wielu tych niewolników najbardziej nadawały się na miejsce ich osiedlenia. Pierwsze próby osiedlenia Murzynów-wychodźców na wybrzeżu Afryki zostały przeprowadzone przez Angielskie Towarzystwo Przyjaciół w latach 1786 — 1795 w Sierra Leone, ukoronowane zresztą stworzeniem w roku 1807 kolonii angielskiej. To pierwsze doświadczenie wzbudziło duże zainteresowanie w USA. W 1816 r. powstaje w Waszyngtonie Amerykańskie Towarzystwo Kolonizacyjne z zadaniem stworzenia na wybrzeżu afrykańskim kolonii Murzynów. W roku 1820 zostaje wysłany pierwszy transport 88 emigrantów-kolonistów. Koloniści docierają do Sierra Leone i źle przyjęci przez Anglików osiedlają się o 350 km dalej na południe, powiększając z każdym rokiem tereny kolonizacji.

25 czerwca 1847 r. zwołano do miasta Monrovi Zgromadzenie Narodowe, które po miesięcznej pracy, dnia 26 lipca 1847 r. ogłosiło Deklarację Niepodległości i konstytucję nowego państwa, wybierając na pierwszego prezydenta dotychczasowego gubernatora Roberta A. Przybysze nazwali kraj Liberią, a miastu portowemu i zarazem stolicy nadał nazwę Monrovia, aby upamiętnić nazwisko prezydenta USA Monroe'go. Godło państwowe Liberii przedstawia okręt płynący pod pełnymi żaglami na tle wschodzącego słońca. Ponad okrętem unosi się gołąb z opieczetowanym dokumentem w dziobie, co symbolizuje nadanie nowej republice wolności. Na pierwszym planie widać wybrzeże z rosnącą na nim palmą, pod którą leży płóg i topata. Na wstępie pod tarczą umieszczony jest napis „Love of liberty brought us here” („Umilowanie wolności przywiodło nas tutaj”). Anglia była pierwszym państwem, które uznało niepodległość Liberii (1848 r.). Stany Zjednoczone dokonały tego dopiero w roku 1862. W okresie, gdy Liberia stała w szeregu państw niepodległych, posiadała 8000 obywateli i 350000 krajowców.

republiki może zostać tylko przedstawiciel rasy czarnej. Każdy obywatel posiadający własność nieruchomości ma prawo wyborcze. Władza ustawodawcza należy do Parlamentu składającego się z Izby Reprezentantów i Senatu. Przedstawiciele izb ustawodawczych są wybierani jedynie spośród obywateli „cywilizowanych” zamieszkujących hrabstwa nadbrzeżne. Interior nie posiada przedstawicieli w izbach. Szczępy tubylcze mogą — za wysoką opłatą — wysłać na sesję parlamentu swoich obserwatorów, którzy nie mają prawa głosu, a tylko raz w tygodniu mogą złożyć wyjaśnienia we własnych sprawach.

Ludność Liberii można podzielić na dwie odrębne grupy, jakkolwiek obie należą do rasy czarnej. Mianowicie na ludność napływową, głównie pochodzenia amerykańskiego, osiadłą przeważnie na wybrzeżu morskim, w stolicy Monrovi i w niewielkiej liczbie w różnych osadach nadmorskich, społecznie i cywilizacyjnie zajmującą stanowisko uprzywilejowane (mimo wewnątrz rozbitcia klasowego) i faktycznie sprawującą rząd w kraju — oraz na ludność tubylczą od wieków osiadłą na tych obszarach, ale poza jednostkami nie mającą żadnego wpływu na rządy kraju. Pierwsza grupa licząca około 25000 Murzynów pochodzenia amerykańskiego i około 5000 osób przybyłych z kolonii: Sierra Leone, Wybrzeże Kości Słoniowej, Złote Wybrzeże, Nigeria — używa języka angielskiego i tworzy wraz z nie-licznymi tubylcami, również znającymi język angielski, klasę tzw. powszechnie „cywilizowanych” (freeborn of coloured gentlemen). Natomiast krajowcy nie znający języka angielskiego i używający tylko języków murzyńskich zwani są „tubylcami”. Dokładna liczba ich nie jest znana, prawdopodobnie jest ich nieco więcej niż 1,5 miliona ludzi. W praktyce stanowią oni poddanych klasy Ameryko-Liberyjskiej, którzy wyłącznie posiadają pełne prawa obywatelskie, sprawujące się przede wszystkim do praw wyborczych. Ludność tubylcza, zasklepią w życiu szczerpym, w bardzo małym stopniu styka się ze światem „cywilizowanych” i wskutek tej izolacji mogła zachować swoje prądowe, często bardzo pierwotne obyczaje.

Okoliczności kolonizacji w Liberii były zupełnie wyjątkowe. Po raz pierwszy nie Europejczycy ale Murzyni starali się narzucić swoją władzę szczerp wewnątrz kraju. Usiłowania te doprowadziły do ujarzżenia ludów tubylczych. Ameryko-Liberyjczycy myśląc jedynie o własnych emigrantach rozdzieli- li tylko między sobą wszelkie beneficja. Nie brali oni pod uwagę potrzeb ludności tubylczej, nie uświadamiając sobie, że od nich właśnie zależy w dużym stopniu przyszły rozwój kraju. Liberyjczycy zamieszkał w pasie nadbrzeżnym nie dbali o pozyskanie zaufania plemion tubylczych i zaprowadzenie jakiejś znośnej formy rządów dla całego Interioru, stanowiącego przeszło 90 proc. obszaru państwa (pow. Liberii = 125000 km kw.). Poza wybrzeżem i kilkoma miastami nie odczuwa się zupełnie wpływu zorganizowanego życia państwowego.

BOGACTWA KRAJU BIEDNEGO

PRZECHODZĄC do spraw natury gospodarczej należy stwierdzić, że niewiele dokonano w tej dziedzinie. Stan ten uległ pewnej zmianie dopiero na początku XX w., kiedy Chartered Liberian Company reprezentująca kapitał angielski rozpoczęła poszukiwania geologiczne; poszukiwania te wykazały istnienie takich bogactw, jak: hematyt, ru-

da miedzi, ruda cynku, węgiel, ropa naftowa, złoto, diamenty, mika, gnejs, malachit.

Niemniejsze możliwości istnieją w dziedzinie upraw. Na żyznej glebie Liberii rozwijają się doskonale wszelkie rośliny tropikalne, jak: palmy kokosowe, ratanowe, daktylowe, kakao, pomarańcze, cytryny, ananasy, banany, mango, drzewo chlebowe, maniok, trzcina cukrowa, orzeszki ziemne, sezam, koka, ryż. Do następnej grupy roślin, mających olbrzymie znaczenie należą wszystkie rośliny, z których otrzymuje się kauczuk.

USA jest największym na świecie konsumentem kauczuku. W celu uniezależnienia się w dziedzinie zakupów kauczuku od monopolu angielskiego i holenderskiego prezydent Hoover przedstawił Kongresowi w 1923 r. projekt uchwalenia kwoty 500000 dolarów na badania możliwości stworzenia własnych plantacji drzew gumowych. On też pierwszy zwrócił uwagę na Liberię, która ze względu na liczne gatunki drzew kauczukowych mogła stanowić odpowiedni teren do doświadczeń i do... eksploatacji. Do prób tych stanęły dwa wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe USA: Forda i Firestone'a. Podczas gdy Ford zdecydował się na Brazylię, Firestone skierował się do Liberii. Badania wstępne dały wyniki zadowalające. W roku 1926 Firestone, w wyniku zawartej jednocześnie umowy o pożyczkę, uzyskał od rządu liberyjskiego koncesję na wydzierżawienie pod plantację powierzchni około 450000 ha na okres 99 lat. W związku z koncesją udzieloną Firestone Plantations, rząd liberyjski zawarł z Finance Corporation of America, koncernem należącym do Firestone'a, umowę o udzielenie 7 proc. pożyczki w kwocie 5 mln. dolarów zwrotnej w ciągu 40 lat. Pożyczka została udzielona głównie za cenę uzyskania koncesji na plantację kauczuku. Ponadto do najważniejszych warunków pożyczki należało: — spłata rat pożyczki zostaje zagwarantowana dochodami celnymi państwa i podatkiem głównym; — rząd liberyjski zobowiązuje się nie zaciągać nowej pożyczki w ciągu 20 lat od daty zawarcia umowy; — dowództwo wojsk pogranicznych zostanie powierzone 2 oficerom amerykańskim, wyznaczonym przez prezydenta USA.

Ostatecznie, w połowie 1933 r. rząd liberyjski nie mógł uzyskać odpowiedniego poparcia żadnego z krajów europejskich przyjął warunki amerykańskie. Przemienne wpływy Firestone'a utrwały się w ten sposób na długie lata w kraju noszącym nazwę niepodległej Republiki Liberii, a będącym faktycznie pięćdziesiątym stanem USA.

Ale cofnijmy się kilka lat wstecz, do roku 1931 i lat następnych, a dowiemy się rzeczy wprost rewelacyjnych. Otóż w roku 1931 Liberia, borykająca się wciąż z trudnościami finansowymi, zwróciła się do Ligi Narodów — jako jej członek — z prośbą o udzielenie pomocy. Sprawa ta zbiegła się z zarzutami wysuniętymi przeciw Liberii, że stosuje u siebie niewolnictwo, przymusowe roboty, system okrutnych kar itd. Wyloniona z ramienia Ligi Narodów międzynarodowa komisja dla zbadania stosunków w Liberii potwierdziła prawdziwość tych oskarżeń. Komisja ustaliła, że w Interiorze powszechnie stosowany jest system zakładnictwa i zastawnictwa, tzw. pawn system, dozwolony przez rząd liberyjski ze względu na jego odwieczną tradycję wśród szczerpów tubylczych. Tuż przed II wojną światową na mocy dekretu prezydenta zakładnictwo zostało uznane za nielegalne, lecz dekrety takie nie mają żadnego realnego znaczenia poza obrębem kilku miast. Ten starożytny „obyczaj” miejscowy może być usunięty tylko ze wzrostem kul-

tury i zmianą istniejących stosunków społecznych.

Od czasu złożenia raportu przez komisję międzynarodową, sprawy Liberii zajęły sporo czasu Lidze Narodów. Nie zdecydowano Liberii do- brych rad i projektów „zbawien-nych” reform, ale nie wskazano środków finansowych na przeprowadzenie zmian. Wreszcie wyłoniona przez Ligę odpowiedzialna komisja opracowała w 1932 r. plan pomocy, jako warunek stawiając ustanowienie ścisłej kontroli międzynarodowej i przyznanie szerokich prerogatyw delegatowi Ligi Narodów. Rząd liberyjski wychodząc z założenia, że przyjęcie tych warunków oznaczałoby przekreślenie suwerenności państwa naruszenie konstytucji, projekt odrzucił i rozpoczął starania o pożyczkę na własną rękę. Pragnąc odzyskać podkopane zaufanie w międzynarodowych sferach finansowych i pragnąc przekonać opinię światową, że Liberia chce cywilizować się — zaangażowała rzeczoznawców spośród obywateli Stanów Zjednoczonych i... Pol- ski.

Na jesień 1933 r. przybył do Warszawy w nieoficjalnej misji do rządu liberyjskiego dr Leo Sajous dla nawiązania stosunków gospodarczych i finansowych z Polską. W wyniku pertraktacji, prowadzonych z prezesem „mocarstwowej” Ligi Morskiej i Kolonialnej, generałem Orlicz-Dresznerem, w 1934 r. została zawarta w Monrovi umowa między LMK a rządem Liberii. Na mocy tej umowy Liberia wyraziła zgodę na:

1. oddanie do użytku obywateli polskich 50 plantacji,
2. stworzenie strefy wolnocłowej dla towarów polskich,
3. uprawianie żeglugi kabotażowej przez statki pod polską banderą,
4. prowadzenie przez obywateli polskich, upoważnionych przez LMK, badań geologicznych,
5. przyznanie polskim kupcom i plantatorom klauzuli największego uprzywilejowania.

Liga ze swej strony „zgodziła się” na:

1. przysłanie do Liberii na koszt rządu liberyjskiego rzeczoznawców: finansowego i sanitarnego,

2. poczynienie starań o przysłanie do Liberii konsula polskiego oraz o zawarcie układu handlowego polsko-liberyjskiego.

W konsekwencji układ handlowy został podpisany, a ówczesna prasa polska powitała ten fakt z wielkim zadowoleniem widząc w nim narodziny „zainteresowań” kontynentem afrykańskim.

DZIEJE NAJNOWSZE

OKRES II wojny światowej przyniósł Liberii jeszcze większe uzależnienie gospodarcze i polityczne od Stanów Zjednoczonych.

W roku 1942 Liberia podpisała układ z USA, uzupełniony i rozszerzony następnie w r. 1944, przyznając Amerykanom prawo zakładania baz lotniczych na terytorium Liberii. W wyniku całego szeregu porozumień, klauzuli dodatkowych i ustępstw Liberia stała się bazą wypadową amerykańskiej ekspansji w Afryce.

Utworzony po wojnie w Stanach Zjednoczonych koncern Liberia Company Inc., będący filią Steffenius Associates Liberia Inc., otrzymał niedawno monopol na eksploatację w przeciągu 99 lat wszystkich bogactw naturalnych Liberii, poza rudą żelazną, eksploatowaną przez U.S. Steel Corporation i kauczukiem, eksploatowanym przez Firestone Rubber Company. Umowa między rządem Liberii a amerykańską Liberia Co Inc. oddaje kraj całkowicie w ręce monopolistów amerykańskich. Świadczy o tym najlepiej jeden z punktów tej umowy przewidującej, że w razie powstania sporu między stronami, zobowiązują się one zastosować do wyroku arbitra, którego wyznaczy rektor Columbia University.

Widzimy więc na co idą w rzeczywistości inwestycje monopolu amerykańskiego. Inwestycje te mają na celu nie rzekomy „rozwój” krajów zacofanych, lecz grabieżczą eksploatację zasobów surowcowych tych krajów, jednostronny rozwój poszczególnych gałęzi gospodarki, maksymalne przystosowanie ekonomiki tych krajów do strategicznych planów imperialistów.

W rezultacie ekonomika krajów zależnych przybiera charakter mo-

nokulturowy. Na przykład, według danych ONZ, w Liberii udział karczuku w globalnej sumie eksportu wynosi 90 proc. Ten wypaczony charakter gospodarki krajów zależnych polega jeszcze ich niewolniczą zależność od mocarstw imperialistycznych, z których zmuszone są importować większość potrzebnych artykułów. Na przykład, udział USA wyniósł w roku 1953 w imporcie Liberii — 94 proc., w eksporcie — 80 proc.

W planach stworzenia amerykańskiego imperium kolonialnego Afryka zajmuje czołowe miejsce. USA wielokrotnie opowiadały się za zasadą „otwartych drzwi” i „równych możliwości ekonomicznych na terytoriach afrykańskich”.

BEZPOŚREDNIE doświadczenia polityczne zdobyte przez większość narodów afrykańskich, w tym przez Liberyjczyków w czasie II wojny światowej, rozwój stosunków handlowych w okresie powojennym i coraz aktywniejszy ruch narodowy — wyzwoliły w krajach sąsiadujących z Liberią, do główne czynniki wpływające na przyspieszenie procesu kształtowania się narodu liberyjskiego, na coraz bardziej zorganizowaną walkę o wolność i niezawisłość.

Aczkolwiek w obecnej chwili Liberia przeżywa okres spokoju w sprawach politycznych, to jednak trudno przewidzieć jak długo on potrwa.

Liberyjskie ugrupowania polityczne i związki zawodowe znajdują wielkie oparcie w coraz intensywniejszym ruchu politycznym w krajach sąsiednich. Famielajmy bowiem, że Rada Narodowa Nigerii i Kamerunu (National Council of Nigeria and the Cameroons) z przewodcą — premierem Dr Nnamdi Azikiwe, Partia Ludowa w Sierra Leone (Sierra Leone People's Party) z premierem Dr Margat na czele, Zjednoczona Partia Kongresu Złotego Wybrzeża (United Gold Coast Convention) z przewodcą — premierem Dr Kwame Nkrumah — a więc partie krajów formalnie i faktycznie zależnych, kolonialnych, należą do najbardziej postępowych, aktywnych i dojrzałych politycznie partii murzyńskich.

Wprawdzie organizacja liberyjskiego ruchu zawodowego, tzw. Unia Rzemieślników i Zjednoczonych Robotników (Union of Artisans and Allied Workers) jest młoda wiekiem i doświadczeniem, jednak zorganizowała już w latach powojennych kilka strajków, m. in. w kwietniu br. strajk pracowników kolejowych, żądających podwyżki płac, w ubiegłym zaś roku wydała odezwę do wszystkich robotników liberyjskich, aby nie zgłaszali się do prac przy budowie baz morskich i lotniczych, aczkolwiek prace te są lepiej płatne. I aby w ten sposób bojkotowali działalność i wysiłki SAC (Strategic Air Command z siedzibą w Omaha w stanie Nebraska — USA), kierującej poprzez organy liberyjskie budową obiektów wojskowych.

Partie polityczne Liberii: Północny Kongres Ludowy (Northern People's Congress) wraz z Partią Ludową (People's Party), zrzeszające postępowe elementy młodej inteligencji liberyjskiej z Interioru i hrabstw nadbrzeżnych wzięły poprzez swoich przedstawicieli czynny udział w konferencji 29 krajów Afryki i Azji, która odbyła się w kwietniu br. w Bandungu (Indonezja). Świadczy o tym najlepiej fakt, że w skład 12-osobowej podkomisji, która ma się zająć „zbadaniem problemów współpracy kulturalnej i drogi rozszerzenia tej współpracy” wszedł m. in. reprezentant Liberii.

Wiele już pisano o tej konferencji, nie będziemy więc poruszać na tym miejscu zagadnień, że i praw sformułowanych w Bandungu. Wystarczy stwierdzić, że szlachetne, zmiernie słuszne idee, nie padną na nieurodzajną glebę.

Danuta Paszkiewicz



Muchy na głowie Murzyńka nie przeszkadzają małemu w zabawie.

ZACZAROWANA

Wnętrze gospody. Na wprost widza dwa duże okna, a pomiędzy nimi drzwi wejściowe. Na lewo szynkwas i drzwi do kuchni, na prawo do mieszkania karczmarzy. Kilka stołów i ław. Na bliższej spoczywa Don Kichot, na dalszej Sancho Pancho. Ciemność nocy, rozproszona lichym światłem tłące się na stole ogarka.

Drzwiami z prawej wchodzi Inez ze szkopkiem w ręku. Stapa cichutko, na palcach i Don Kichot dostępuje ją dopiero wówczas gdy stanęła przy nim.

DON KICHOT (zdumiony): Ktoś ty?

INEZ: Jestem Inez, córka karczmarza. Pozwól, panie, bym opatrzyła twoje rany i potłuczenia. (Stawia szkopek na ziemi i zabiera się do roboty.)

DON KICHOT: Jesteś księżniczką, panią tego zamku?

INEZ (przy pracy): Nie mówcie, panie, tak, bo się wstydzę. Prosta jestem dziewczyna, ale nauczyłam się od matki posług przy chorych i jak mogę, pełnię me chrześcijańskie obowiązki.

DON KICHOT: A może jesteś dobrą wróżką czy feją?

INEZ: Nie ruszajcie się, panie, bo jeszcze rozleję wodę. O, jakżeście strasznie potłuczoni! Ale, chwala Bogu, ran nie ma.

DON KICHOT: Dotyk rąk twoich uśmierza ból — gdyż są miłosierne. Czarodziejskie masz ręce, księżniczko.

INEZ: I tu macie sińce, i tu, i tu. Chudziście, panie, jak święty Sebastian, męczennik, com go widziałam w kościele na obrazie, pokutnego pogańskimi strzałami. Powiedźcie, czym się żywiacie?

DON KICHOT: Sławą.

INEZ (zdumiona): A cóż wam daje siły?

DON KICHOT: Męstwem.

INEZ: A co was krzepi?

DON KICHOT: Duch.

INEZ: Obróćcie się, panie, na tamten bok. (Don Kichot odwraca się z jękiem.) Boli was, panie?

DON KICHOT: Trochę, dobra księżniczko.

INEZ: Słyszałam, że jesteście sławnym rycerzem

którego zwyciężaliście obrzymi i smoki.

DON KICHOT: Tak, panie. Jestem błędnym rycerzem.

INEZ: A cóż to znaczy: błędny rycerz?

DON KICHOT: Nie wiecie?

INEZ: Skądże? Przecież jestem prosta dziewczyna.

DON KICHOT: To ten, co jeździ po świecie, aby nieść pomoc pokrzywdzonym i słabym, bronić wdów i sierot od wyzysku, dziewczę od porwania, ucieszyć ludy od tyranów. Wszędzie musi nieść pomoc, nie szczędzić krwi ni trudu.

INEZ (zadumana się):

DON KICHOT: I wszędzie nań czekają przygody: żli czarownicy zastawiają pułapki, przemieniają obrzymów w wiatraki, a armie nieprzyjacielskie — w stada owiec. Ale on nie ustaje w walce, bo po to nosi rycerski pas, by nigdy nie spoczął.

INEZ: To tak jak święty Jerzy. (Budząc się z zadumy) Obróćcie się znów ku mnie. Posmaruję was maścią.

DON KICHOT: O, dobra księżniczko!

INEZ: Znowu z tą „księżniczką“. Wszak wam mówiłam...

DON KICHOT: Jesteście panią tego zamku...

INEZ: Jakiego zamku? Przecież to karczma. Albo szczyście ze mnie, albo wam tak mówić pański nakazuje obyczaj. Już skończyłam.

DON KICHOT: Dobra księżniczko, pozwól ucałować twą rękę.

INEZ (cofając rękę): O nie, panie! Mam dopiero zesnać lat.

DON KICHOT: Czy już przeznaczono, księżniczko, twą rękę, któremu z pantofelów?

INEZ: Co też wygadujecie? W głowie mi się kreca. Szczęsny jesteście cudak. Gdzież tak ja — księżniczka, karczma — pałac? Powiecie jeszcze, że to nie noc, a dzień.

DON KICHOT: Księżniczko, czarami można noc w dzień zamienić. Ten pałac jest naprawdę zaczarowany. Wróg mój, czarnoksiężnik Merlin, przemienił go w karczmę.

INEZ: Co mówicie, panie?!

DON KICHOT (unosząc się z łóża, woła): Hej! zły czarnoksiężniku Merlinie, znów czynisz mi wstępy, znów mnie ścigasz swoimi czary! Ale wyzywam cię na bój. Staw się tu zaraz, albo powiem, że jesteś tchórzem! (ustaje)

INEZ: Panie, co czynisz?

DON KICHOT: Słodka księżniczko, twoje opatrunki wróciły mi siły. Teraz już mogę stoczyć walkę z obrzymem. Gdzie moja zbroja? (wkłada pancierz)

INEZ (prerażona): Na Boga! Tak wam się nigdy nie wygoi.

DON KICHOT: Już jestem zdrow. Pomóż mi, panie. Jest to w zwyczaju, że damy zapinają rycerzom sprzączki przy pancerni. O, tu...

INEZ (pomagając): Szalony z was człowiek, panie. Ale ja się nie boję szaleńców. Był tu jeden we wsi...

DON KICHOT (wyskakując na środek izby): Czarnoksiężniku, Merlinie, po raz drugi wyzywam cię do walki, ja Don Kichot, błędny rycerz! Jeśli się nie stawisz, hańba spadnie na twój rycerski honor. Przybądź, by odbyć bój według rycerskich prawideł!

INEZ (prerażona): Boże mój! A jeśli on tu przybędzie...

DON KICHOT: Pozna ramię Don Kichota. Piękna księżniczko, podaj mi hełm!

(Inez podaje mu hełm)

DON KICHOT: Czarnoksiężniku Merlinie, wyzywam cię po raz trzeci! Przybądź na pięć, walczyć z Don Kichotem! Księżniczko, podaj mi tarczę!

(Inez podaje mu tarczę)

DON KICHOT: Przybędzie na pewno, przybędzie.

INEZ: Boję się, panie!

DON KICHOT: Włos ci z głowy nie spadnie, skoro jesteś pod opieką rycerza z Manczy. Księżniczko, podaj mi miecz!

(Inez podaje mu miecz)

DON KICHOT: Nie ma go.

DON KICHOT: Przybędzie. Musi przybyć na takie wezwanie.

(Szum wiatru)

O, słyszysz, już leci na rydwanie zaprzężonym w cztery tygrysy. Hej, hej, bywaj tu sam!

(Ogarek gaśnie, całkowita ciemność)

INEZ (w przerażeniu): Matko Najświętsza!

DON KICHOT: Znowu używasz czarów niegodnych rycerza! Znowu się otaczasz ciemnością! Ale teraz już nie ujdiesz mej ręki. Walcz, broń się! (rąbie mieczem w ciemności)

(Słychać sześć szpad, jakby dwu walczących)

DON KICHOT: Co, poznacie siłę moich ciosów? Cofasz się? Poddaj się! Daruję ci życie. Walczysz jeszcze? Więc masz! Haha, dosięgłem go! Słania się?... Uciek! Uciek! ranny! Był ranny w głowę. Nędznik, znów użył czarów, zostawiając mnie na placu zwycięzcy. Teraz wiesz, co to Don Kichot! Księżniczko, jesteś wolna, czar prysł.

(W tej chwili usłuchali księżyc i fantastycznym światłem napętla karczmę tak, że ta przybiera postać wnętrza uspaniałego pałacu)

INEZ: Boże, czy ja śnię?

DON KICHOT: O nie. Dotąd byłaś zaczarowana, spałaś! Teraz to dopiero rzeczywistość. Patrz, gospoda stała się znów pałacem. Ściany są ze srebra, a stoły ze złota. Wszędzie złoto i drogie kamienie, a ty znów jesteś księżniczką. Możesz mi podziękować.

INEZ: Dziękuję wam, błędny rycerzu. Czy to sen, czy jawa?

(Za oknem śpiew Zakochanego Studenta)

DON KICHOT: Słyszysz, trubadurów śpiewają pod oknami pałacu.

INEZ: Cóż za piękny śpiew!

DON KICHOT (znużony): Księżniczko, zmęczylem się walką. Pomóż mi zdjąć zbroję. (zdejmuje pancierz przy pomocy Inez). A jednak jeszcze trochę mnie boli. Pozwolisz, że usiądę?

INEZ: Połóż się, panie.

DON KICHOT: Dobrze mówisz, położę się. Należy mi się spoczynek. Zwalczyłem najpotężniejszego z obrzymów, jakiego zna świat.

(Śpiew Zakochanego Studenta)

INEZ: Co wasność mówisz? Taki on potężny?

DON KICHOT: Potężnie jego nie ma granic, księżniczko. To on zwyciężył króla Artura, on zranił Amfortasa i bruzdził długo bractwu świętego Grala! Dopiero Parsifal go pokonał, i na ciebie rzucił czar, przemieniwszy twój pałac w karczmę, a ciebie w córkę karczmarza.

INEZ: Czyż to podobne? Przecież, jak tylko pamiętam, byłam córką karczmarza.

DON KICHOT: Na tym właśnie polega czar, że człowiek zapomina, kim jest w istocie. Teraz rozumiem, miał on zapewne porachunki z twoim ojcem, burgrabią. Zaczarował więc całą waszą rodzinę.

INEZ: O mój Boże, toż w głowie się kreca. Mój ojciec burgrabia, a ja — księżniczką zaczarowaną! Wierzyć się nie chce.

DON KICHOT: Już nieraz zdarzały mi się podobne wypadki. Trzeba się tylko umieć w tym rozpoznać, czego nie potrafia rozróżnić oczy gminu. Widać na przykład stół. Myślisz, że to taki sobie zwyczajny stół? A to stół zaczarowany. Albo widzisz drzewo. Zdaje ci się, że to zwykłe drzewo. A to zaklęta w drzewo Dafne. Widzisz osia, myślisz, że to

zwykły osioł, a to zaklęty w osia przez złą czarodziejkę Sidi-Numan. I tak wszędzie, na każdym kroku...

INEZ: Mówicie cuda, panie!

DON KICHOT: Życie, księżniczko, to splot czarodziejstw. Oto ty, na przykład, byłaś zaczarowana i sama nie wiedziałaś o tym. Gdyby nie ja, może nie dowiedziałyby się nigdy. Taka jest moc czarów.

INEZ: O dzięk, dzięk wam, panie. Doprawdy, nie wiem jak dziękować.

DON KICHOT: Nie ma za co, księżniczko. To obowiązek błędnych rycerzy — odczarowywać księżniczki.

(Śpiew Zakochanego Studenta)

INEZ: Znowu ktoś śpiewa. Ach, jak piękna jest ta noc!

DON KICHOT: Przebudziłaś się, księżniczko, do nowego życia, piękniejszego, lepszego. A ja, po dokonaniu bohaterskiego czynu, mam prawo na chwilę spocząć.

INEZ: A może, panie, chcecie zasnąć?

DON KICHOT: Błędni rycerze nie spłajną nigdy. Całe ich życie, to sen, szalony sen. Zdarza się jednak im odpocząć przez chwilę po dokonaniu zwycięstwa. Wtedy wolno im okazać zmęczenie.

INEZ: Bardzo zmęczony jesteś, panie?

DON KICHOT: O tak. A przecież wciąż muszę czuwać. Bo co by się stało ze światem? Gwałt i przemoc zalałyby go całkowicie. Zatriumfowałby fałsz i zło. Dlatego nie wolno mi zmrząć oka ani na chwilę.

INEZ: To straszne, co mówicie! Więc ani chwili spoczynku, wytchnienia?

DON KICHOT: Teraz wszak odpoczywam, patrząc w twoje oczy, piękna księżniczko.

INEZ: Piękna? Nikt mi jeszcze tego nie powiedział.

DON KICHOT: Bo byłaś zaczarowana. Masz oczy czarne jak agat o diamentowym połysku.

INEZ: O mój Boże!

DON KICHOT: Albo — jak morze w nocy przy świetle księżycy. Błyszczą się wtedy w złotych promieniach ciemna toń, kryjąc w sobie głębi tajemnic.

INEZ: O mój Boże!

DON KICHOT: A ręka twoja tak biała w świetle księżycy, jak w świetle księżycy biała róża i jak ona mała, złączona z matych, pachnących płatków.

INEZ: O mój Boże!

DON KICHOT: Ciekaw jestem, księżniczko, któremu z pantofelów oddasz tę rękę? Może Hamletowi, księciu duńskiemu? A może Fontymbrasowi, królewiczowi Anglii. Don Karlos, infant hiszpański, szlachetny jest, lecz nieszczyśliwy. A ja chciałbym, abyś była szczęśliwa, księżniczko. Najlepiej, abyś oddała rękę Fontymbrasowi. To dzielny, młody król. Jego możesz uszczęśliwić.

INEZ: Czy mogę uszczęśliwić kogo tylko zechcę?

DON KICHOT: Naturalnie, przecież jesteś już wolna! Czar prysł.

INEZ: A czy błędnych rycerzy księżniczki mogą brać za mężów?

DON KICHOT: Owszem, zdarza się to. Choć, właściwie, powinny wychodzić za młodych królewiczów. Błędni rycerze nie mają obowiązku być piękni. Ot ja, na przykład, jestem stary i łysy... od noszenia hełmu.

INEZ: To nieprawda, to nieprawda, panie! Jesteście piękny i młody, piękniejszy od wszystkich młodych kawalerów.

DON KICHOT: Jak to? Wczoraj jeszcze przegladaliśmy się w zwierciadle.

INEZ: Ale możecie, panie, byli zaczarowani?

DON KICHOT: Zdaje mi się, że nie...

INEZ: I nie wiedzieliście o tym sami. Ten brzydkie czarownik Merlin tak was urządzał,

DON KICHOT: Czyż to być może? Podaj mi zwierciadło.

INEZ: Nie ma tu, pod ręką.

DON KICHOT: Ale ja mam, w potrzebie od czarów. (patrzy w zwierciadło). Przecież jestem łysy.

INEZ: No właśnie, ponieważ jesteś zaczarowany.

DON KICHOT: Ale przecież czar Merlina prysł.

INEZ: Tylko co do mnie, nie co do was. Teraz ja was, panie, odczaruję. (bierze zwierciadło).

DON KICHOT: Potrafiłabyś?

INEZ: Kobiety wszystko potrafią, a jeszcze „księżniczki“. (udaje, że mówi jakieś zaklęcia, i nagle tużczy zwierciadło).

DON KICHOT: Sflukło się...

INEZ: Tak, to było złe, zaczarowane zwierciadło i dlatego nie chciało, abyś w nim wyglądał ładnie. Teraz czar prysł. Ach, jaki teraz jesteś piękny!

DON KICHOT: Co ty mówisz? Więc to były czary?

INEZ: Tak. Teraz jesteś młody i wcale nie łysy.

DON KICHOT (maca się po głowie): Jak to?

INEZ: Owszem łysy, ale bardzo ci z tym do twarzy. Przecież i tak zawsze nosisz hełm.

DON KICHOT: Rzeczywiście...

INEZ: Możesz mi teraz podziękować!

DON KICHOT: Dziękuję ci, piękna księżniczko.

INEZ: Ach, jak to ślicznie powiedziałaś. Powtórz raz jeszcze: „Dziękuję ci...“

DON KICHOT: Dziękuję ci, piękna księżniczko. (Znowu śpiew Zakochanego Studenta).

INEZ: O czym on tak śpiewa?

DON KICHOT: O czym śpiewają wszyscy trubadurzy? O miłości.

INEZ: O miłości. Ach, to tak pięknie z jego strony. A ty umiesz śpiewać?

DON KICHOT: Choć rzadko, lecz się zdarza.

INEZ (zaczyna płakać).

DON KICHOT: Księżniczko, co ci jest? Czemu płaczesz? Czyżbyś się już zakochała, w którym z nich?

INEZ (przez łzy): Tak...

DON KICHOT: Ciekaw jestem, w którym? Czy w mistrzu Emeryku? Czy w Henryku Burgundziku?

Czy może w Janie z Aragonii?

INEZ: Nie, nie. Nie mogę powiedzieć!

DON KICHOT: Jak to? Mnie — który cię odczarował?

INEZ: Właśnie dlatego.

DON KICHOT (urazony): Nie rozumiem, księżniczko...

INEZ (przestaje płakać): Czy znasz bajkę o śpiącej królewnie?

DON KICHOT: Tej, co została zaklęta za pomocą jabłka?

INEZ: Tak, wraz z całym dworem.

DON KICHOT: I spała trzydzieści lat...

INEZ: Aż przyszedł królewicz...

DON KICHOT: I zdjął czar...

INEZ: Ale w jaki sposób?

DON KICHOT: Nie rozumiem.

INEZ: No, czy powiedział jakieś słowo, czy zakrzyknął, czy klasnął w rękę?

DON KICHOT: Nie przypominam sobie.

INEZ: Przecież... przecież... pocałował ją!

DON KICHOT: Tak, tak! A wtedy jabłko wypadło z ust.

INEZ: (siedzi przygotowana na pocałunek, a gdy ten nie następuje): Bardzo miły był ten królewicz.

DON KICHOT: Nic dziwnego. To przecież w bajce...

INEZ: Czy tylko w bajce można się całować! Nie powiem, panie, abyście byli zbyt domyślni... Powiedźcie mi na przykład... Albo nie...

DON KICHOT: Mów, księżniczko.

INEZ: Co by powiedział błędny rycerz, ot wy na przykład, gdyby mu która z księżniczek wyznała miłość...

DON KICHOT: Odpowiedziałbym, że panią mego serca jest Dulcinea z Tobozo, której jestem rycerzem.

INEZ: Jak to, panie? Wszak mówiliście, żeście nie żona.

DON KICHOT: Broń Boże! Gdyby była moją żoną, nie mogłaby być damą mego serca, do której wzdycham i dla której walczę.

INEZ: Lecz chcielibyście, panie, ją poślubić!

DON KICHOT: Bynajmniej. Może zostać żoną kogo innego.

INEZ: W takim razie jej nie kochacie?

DON KICHOT: Zapewniam cię, że jestem jednym z najbardziej czułych kochanków. Układałem dla niej nawet sonety, które jednak mi zaginęły za sprawą tego niecnego czarnoksiężnika Merlina.

INEZ: Tego nie mogę pojąć. A często ją widzicie?

DON KICHOT: Widziałem ją raz jeden w życiu.

INEZ: Doprawdy? Więc to miłość od pierwszego wejrzenia?

DON KICHOT: Tak, panie.

INEZ: A piękna ona?

DON KICHOT: Jak cud.

INEZ: Blondynka czy brunetka?

DON KICHOT: Doprawdy... nie przypominam sobie.

INEZ: Jak to? Jak to? To być nie może!

DON KICHOT: Widziałem ją tak dawno.

INEZ: Kiedy?

DON KICHOT: Dwadzieścia lat temu.

INEZ (wybuch śmiechem): Cha!cha!cha!cha! Och, panie! Zartujecie sobie ze mnie. A ja myślałam...

DON KICHOT: ?

INEZ: I było mi bardzo smutno. Ale teraz, teraz (śmieje się dziecinnie) Cha cha cha cha!

DON KICHOT: Czemu się śmiejesz?

INEZ: Wesoło mi na sercu. O mój rycerzu, macie mnie za dziecko i opowiadacie bajeczki. Ale i ja wiem coś już o miłości. Opowiadała mi Moritornes...

DON KICHOT: Cóż ci mówiła, mała księżniczko?

INEZ: „Różne takie rzeczy... A wysięcie się naprawdę nigdy nie kochał“

DON KICHOT: Hm...

INEZ: Tylko mówcie prawdę.

DON KICHOT: O, nie. Zawsze byłem wierny Dulcynie.

INEZ: Którą widzieliście dwadzieścia lat temu! Zartujecie wciąż ze mnie. Jesteście tacy niedobrzy... (zaczyna płakać).

(Znowu śpiew Zakochanego Studenta).

DON KICHOT: Piękna, mała księżniczko, nie płacz. Doprawdy nie chciałem cię wcale urazić.

INEZ (przestaje płakać): Tak?

DON KICHOT: Doprawdy...

INEZ: A będziecie mówić prawdę?

</

GOSPODA

INEZ: Nie było żadnego czaru, ni czaroksiężnika Merlina. Po prostu świecił księżyc i ktoś grał na gitarze. Ale kto?

DON KICHOT: Jak to? Więc nie wierzysz?

INEZ: Czy ja wiem. Wszystko to bajka. Zabawiające mnie jak dziecko. Lecz mimo to ja kocham was, panie!

DON KICHOT (gładzi jej rękę): Dziecko...

INEZ: Tak, „dziecko”! Potrafiłicie mnie zabawić. A dzieci kochają zawsze tych, którzy je umieją zabawić.

DON KICHOT: Biedna, mała księżniczko, zakochana w błędnym rycerzu. Po co, na co?

INEZ: Czy ja wiem na co? Na moje nieszczęście. Nawet z was pewnie będę miała pociechy.

DON KICHOT: Tak, niewiele ze mnie pociechy. Ach, gdybym przezwalał, że to się stanie, nie odczarowałbym cię.

INEZ: Teraz już za późno — stało się.

DON KICHOT: Ale ja doprawdy temu nie jestem wnieśc. Wcale tego nie chciałem.

INEZ: Jak to, czy nie mówicie, że mam oczy tak piękne jak agaty... I jeszcze o morzu. Nawet tego nie potrafię powtórzyć. A potem o miłości...

DON KICHOT: Biedni rycerze zawsze tak mówią.

INEZ: Po co? Dlaczego? Czy myślicie, że jeśli kobiecie powiedzą coś takiego, to tak jakby powiedzieli: „Dzisiaj ładna pogoda” Czyż nie wiecie, że każda pochwała urody budzi w nas całe gany uczuć, napawa dreszczem rozkoszy. A teraz mówicie, żeście nie cnieli... Pan Bóg was za to skarze, wiecznie będziecie się wiończyć po drogach, wstrętni, niedobry ludź!

DON KICHOT: Wybacz, księżniczko, już więcej nie będę.

INEZ: Teraz nie będziesz, teraz kiedy już za późno, kiedy się w tobie zakochałem. Uwodzieliście!

DON KICHOT: O mój Boże, jakże jestem nieszczęśliwy. Po co to wszystko mówiłem! Wszak wiem, że już tyle księżniczek kochało się we mnie.

INEZ: W tobie — tyle księżniczek?

DON KICHOT: Przeze mnie odczarowanych. Choć nie robiem o to żadnych starań. Nie wierzysz?

INEZ (na wpół z płaczem): Wierzę, wierzę...

DON KICHOT: Kobieta bowiem kocha tego zwycięzcy, kto ją wyzwał. Więc i te księżniczki...

INEZ: A gdzie one?

DON KICHOT: Pozostały w nieutulonym żalu...

INEZ (wybuch płaczem).

DON KICHOT: Nie płacz, dziecko, już gwiazdy błądzą. Za chwilę świt. Muszę znów w drogę.

INEZ: O Boże! Wszakżeście znów w słońcu!

DON KICHOT: To trudno, trzeba w świat. Błędny rycerz nie zna spoczynku. Taki nasz obowiązek (dźwiga się z ławą).

INEZ (czepia się jego nóg): Panie, nie jedźcie! Zostaniecie chociaż dzień!

DON KICHOT: Muszę jechać, dziewczeczko. Taki mój los. Siędziesz, już rzy w stajni Rossynant, mój czarodziejski rumak. Kogo weźmie na siodło, ten nie zna spoczynku. Tego zaniesie aż pod gwiazdy.

INEZ: Panie, zostańcie! Kocham was.

DON KICHOT: Mała księżniczko, cóż znaczy twoja miłość wobec nienasyconej miłości świata, cóż znaczy płomień miłości do jednego człowieka wobec pożaru miłości do wszystkiego, co żyje?

INEZ: Porzucasz mnie więc, panie?

DON KICHOT: Znajdziesz sobie pięknego młodzieńca, który cię będzie kochał i z którym będziesz miała dzieci. A o starym szaleńcu zapomnij.

INEZ: Nigdy nie zapomnę.

DON KICHOT: Wierz mi, błędny rycerz, to żaden mały! Właściwie nigdy nikogo nie kocha, nawet siebie.

INEZ: A Dulcynea?

DON KICHOT: Tę jedną kocham. Ale właściwie dlatego, że już umarła, że jej nie ma. A może jej wcale nie było.

INEZ: Jak to? Więc to kłamstwo?

DON KICHOT: Tak, dziecko, to wszystko kłamstwo, oman, złuda! Zapomnij o tym, zapomnij.

INEZ: Nigdy! Właśnie dlatego...

DON KICHOT: Zapomnisz, w ramionach pięknego młodzieńca. Wierz mi, będziesz szczęśliwa. Ale już czas. Gwiazdy pogasły, wstaje jutrzienka. Piękną księżniczkę, podaj mi pancerz!

INEZ (szlochając podaje mu pancerz).

DON KICHOT: Pomóż mi zaciągnąć ramię. O, tak. Dziękuję.

INEZ: Panie, zostańcie jeszcze choć parę godzin.

DON KICHOT: Nie mogę, dziecko, nie mogę. Obowiązek mnie woła. Słabi i uciążeni czekają wybawcy. Księżniczkę, podaj mi hełm!

INEZ (podaje mu hełm): Och, po cóż tu przybyli! Aby mnie odczarować? To tyś mnie zaczarował, moje serce... w tę noc czarów bym nie potrafiła rzucić, zostańcie na pastwę tęsknoty i lez! (płacze)

DON KICHOT (kładzie jej rękę na głowie): Płacz, dziecko! We łzach jest ulga. Życie nasze, to wędrówka wśród trudów i cierpienia. I ja bym może także chciał spocząć we własnym domu... Lecz muszę w drogę...

INEZ: Ale dlaczego, dlaczego, panie?

DON KICHOT: Taki jest mój los, los Don Kichota z Mansy.

INEZ (zbliża się doń): O, mój rycerzu, więc jeśli, jeśli odjedziesz, proszę cię o jedno, o... pocałunek...

DON KICHOT: Nie mogę, dziecko, nie mogę. Czy wiesz, czym jest pocałunek młodej dziewczyny? To żar i burza, i szaleństwo w żyłach...

INEZ: Choć jeden raz... pocałuj na pożegnanie!

DON KICHOT: Ani razu... Nie wolno mi.

INEZ (czepiając się go, łagłynie): Raz, tylko raz!

DON KICHOT: Dziecko, dalej ode mnie! Szaleństwo moje jest zaraźliwe. Jam porwał krzyżowców do Ziemi Świętej, jam wiodł Francuzów na podbój Italii, z Kolumbem płynąłem szukać Indii, a odkryłem Świat Nowy! Z Albigenami poniałem na stol-



demon, straszna moc. Wyrwam człowieka z sytości i szczęścia ku poświeceniu i szaleństwu, i podniebnym lotom. Każę znieść trud i sztywność, walcząc, tworząc i spalać się w ogniu własnego serca. sie! Z florenckim poetą zwiędziłem piekło, czyściec i raj! Jam zbadał jako uczonego Polak, że ziemia się kręci wokół słońca. Poznałem gwiazdy na niebie i głab oceanów, ustanowiłem prawa moralne i prawa ciężenia, przewycięzyłem przestrzeń i czas. Jam

INEZ: A czy wszystko, co czynisz, jest dobre?

DON KICHOT: Wszystko czynię dla dobra ludzkości. Poza tym jestem szalony. Zwykli ludzie pracują i piodzą. Lecz świat popychają szaleńcy. Jestem szaleniec, który posiadzie świat, zniszczy go lub uczyni rajem.

INEZ: Rajem — na pewno.

DON KICHOT: Szalona, zapomnij!

INEZ: Nigdy! Teraz dopiero wiem, jak cię kocham.

DON KICHOT: Precz ode mnie!

INEZ: Jam twoja na wieki. Pocałunek, którego mi nie dałeś, zawsze będzie leżał na moich wargach.

DON KICHOT: Księżniczko, podaj mi szpadę! (Inez podaje mu szpadę).

(Don Kichot przypasuje ją).

INEZ: Ale ty bądź przekięty! Obyś nigdy nie znalazł spokoju, ani domu, ani rozkoszy rodzinnej, ogniska. Obyś i po śmierci nie znalazł raju, tylko skałał z gwiazdy na gwiazdę na swoim przekiętym: siwo-szu.

(Przez okno wskakuje Zakochany Student).

STUDENT: Na Boga! Ty, cudna, przeczysta panno, przy tozu tego szaleńca. Powiedz, że to ponikła, przypadek. Inaczej odbiorę sobie życie. A ty, nieucznieli, sławaj do walki ze mną! Zobaczysz, że mój sztylet nie przebieje twojej zarzewiałej blachy.

DON KICHOT: Miły młodzieńcze, nie będę z tobą walczył, bo nie jesteś ani rycerzem, ani czaroksiężnikiem, ani smokiem. Poza tym nie mam o co... Mój wiek i tyśina dostatecznie świadczą, że nie nadaję się na kochanka. To zacne dziewczę przyszło obmyć moje rany...

STUDENT: Żali to prawda? Boże!

DON KICHOT: O! skopek i szarpie.

STUDENT: Wracasz mi życie!

DON KICHOT: Natomiast chciałem ci podziękować za piękny śpiew.

INEZ: Więc to ty śpiewałeś, panie?

STUDENT: Tak, ja. Czemu nie wyjrzałaś oknem?

INEZ: Nie wiedziałam, że to dla mnie...

DON KICHOT: Nigdy w życiu nie słyszała jeszcze serenady. Jest czysta jak majowy kwiat. Piękny młodzieńcze, oto dla ciebie żona. Piękne dziewczę, oto dla ciebie mąż.

(Chwila milczenia).

(Młodzi patrzą na siebie).

DON KICHOT: Jesteście jak gdyby dla siebie stworzeni. On cię kocha gorąco, a ty wprawdzie będziesz udawała, żeś złma jak głaz, ale po pewnym czasie na pewno ulegniesz temu słodkiemu uczuciu.

STUDENT: Pani, gdybyś wiedziała, jak cię kocham!

DON KICHOT: Mogę zaręczyć za niego.

STUDENT: Nie odmawiaj mi swej ręki. Bądź pewna, że uczynię cię najszczęśliwszą kobietą w świecie.

DON KICHOT: Na pewno — możesz mi wierzyć.

STUDENT: Ze uczynię wszystko, aby być godnym twej miłości.

(Don Kichot robi ruch „poręczający”).

STUDENT (mówi dalej): O, najcudniejsza z pięknych, piękna jak sama Wenus.

INEZ: A co to jest Wenus?

DON KICHOT: Bogini miłości w starożytnym Rzymie.

INEZ: A co to jest bogini?

DON KICHOT: To tak jak u nas święta.

INEZ: Rozumiem „Święta Wenus”.

DON KICHOT: Tak, dobrze powiedziałaś — „Święta Wenus”. Niech wam błogosław!

STUDENT: Piękna jak świeży pierwiosnek, odkryty ranną rosą, jak noc księżycowa, jak jutrzienka.

DON KICHOT (budzi Sancho Pancho): Sancho, wstawaj! (tarmosi go za czuprynę).

SANCHO (przez sen): Maryśka, odczep się! Bo jak ci dam!

DON KICHOT: Cóż, bez tego w małżeństwie się nie obejdzie. Naturalnie u was co innego. (tarmosi Sancho).

SANCHO (budzi się): Ach, przepraszam. To wy, panie?

DON KICHOT: Wstawaj, Sancho. Już świta. Czas jechać.

SANCHO: A po co? Zapłaciłmy za góry.

DON KICHOT: Lecz już czas... na mnie.

SANCHO: A nie boli was, panie?

DON KICHOT: Trochę. Lecz mi to przejdzie w siodle.

SANCHO: Żelazny człowiek z was, panie. Hoho! Ja bym tak nie wytrzymał. (Ubiera się).

DON KICHOT: Spiesz się, Sancho! Rossynant rżał już u żłobu.

SANCHO: To dobry znak. A może... może właśnie dziś uda nam się zawojować jaką wyspę...

DON KICHOT: Być może... Wtedy na pewno zrobiecie się gubernatorami.

SANCHO: Pięknie by to było, panie. (ubiera się).

DON KICHOT (do młodych wdając, że student całuje Inez w rękę): Tak dobrze. daj mu rączkę do pocałowania: słuczna, cudna rączka, która może też kiedyś inaczej dogodzić...

INEZ: Racysz zartować, panie.

DON KICHOT: Dziecko, to najlepsze lekarstwo na smutek.

INEZ: Czemu smutni jesteście, panie?

DON KICHOT: Bo tylko Bóg może przzenieść góry i zmieniać tożyska rzek. Bóg... albo czaroksiężnicy. No, Sancho, idź siódkać konie...

SANCHO: Konia i osia — chcieliście rzec.

DON KICHOT: To dobrze, że jesteś scisty. Idź, mój drogi.

INEZ: Tak, wcześniej stajnia jest jeszcze zamknięta. Ja tylko wam, jak się tam dostac. (do Sancho). Pójdź za tobą.

STUDENT: I ja z wami.

DON KICHOT: Idź wszędzie za nią, mój synu, aż do końca dni swoich.

(Młodzi i Sancho wychodzą).

DON KICHOT (w pełnej zoroj staje na tle okna, w którym rozowuje jutrzienka). Już wstaje jutrzienka — zgasy gwiazdy. Na kon, don Kichocie! (po puźcie) Boże, kieruj moim ramieniem! Niechaj przezmog i faiz padną z mej ręki, a zatrumfują prawda i cnota. Niech na skrzydłach przelecę świat, by gdziekolwiek uciskana słabość pragnie pomocy, macy mnie nie zabrakło. O Panie, rozpal mą duszę zaliwością świętej walki, jak stał w ogniu, by nigdy nie ostygła. I wspieraj mnie wśród pokus i w słabości, i w znuczeniu. A kiedy umrę, nie sadaj mnie w raju pośród szczęśliwych, ale mi pozwól walczyć na mom rumaku wędrując po gwiezdnych szlakach! Amen. (Wchodzi Sancho, Inez i Student).

SANCHO PANCHO: Koń osiodłany.

DON KICHOT: A więc w drogę! (do młodych) A wy, moje dzieci, kochajcie się, zaludniajcie ziemię swoją miłością. A czasem wśród spraw codziennych wspomnijcie o mnie.

INEZ: Panie, nigdy cię nie zapomnę. Kołysząc do snu dzieci, będę im śpiewała piosenki o tobie.

DON KICHOT: Będą miały szalone sny. Zegnaj, mała księżniczko.

STUDENT: Księżniczko?

DON KICHOT: Tak ją nazywaj, przynajmniej do dnia ślubu. Zegnajcie! (do publiczności) A teraz ołbrzymi, czaroksiężnicy, smoki! drżycie! Don Kichot wyrusza w bój. Zadziwmy czynami ziemię i niebo, a piekło napełnimy strachem. Do mnie, uciskione sieroły, księżniczki w mocy czarodziejów, miasta w jarzmie tyranów! Don Kichot was wybawi! Na kon! Boska Dulcynea, patrz na czyny swego rycerza! (Wychodzi z Sancho Panchem).

(Kochankowie stoją przez chwilę w milczeniu).

(Za oknem widać oddalających się w face od tyłu na koniu i osie, rycerza z giermkim).

INEZ (w nagłym zachwycie): A może to był sam Święty Jerzy!



MINĘŁO 350 lat od chwili narozn jednego z najciekawszych arcydzieł literatury światowej. W początkach 1605 roku ukazała się pierwsza część nieśmiertelnego „El ingenioso hidalgo Don Quijote de la Mancha”. Od samego początku książka Cervantesa zyskała olbrzymie powodzenie i do dziś dnia posiadać dziwaczne szlachectwo i jego giermka otoczona jest niesłabnącym zainteresowaniem i sympatią. Jest rzeczą bezsporną, że zarówno talent i artyzm autora powieści, jak i ogólnoludzkie walory treściowe są jedną z tajemnic tego powodzenia. „Don Quijote” jest dziełem niezwykłego talentu, trzeba jednak wziąć pod uwagę, że Cervantes żył w określonej epoce historycznej; nie tylko żył w niej, ale był z nią związany i ulegał jej wpływom. Powstaje więc pytanie: jak daleko sięga wpływ na dzieło Cervantesa, w jakim stopniu pisarz samodzielnie przemyslał i artystycznie odtworzył to, co mu mogła dać epoka.

Zycie Cervantesa było pasmem ustawicznych zmagających trudności różnego rodzaju, głównie materialnymi. Syn zubożałej rodziny szlacheckiej, urodzony na jesieni 1547 roku, od wczesnej młodości, widział jak ojciec boryka się z licznymi przeszkodami, by zarobić na utrzymanie swej liczonej rodziny. Było to życie wędrownego cyrylaka, pełne upokorzeń i nieprzyjemności. Później widzimy naszego Miguela w Madrycie, oddanego studiom i poezji pod kierunkiem Don Juana Lope de Hoyos. Młody Cervantes po debiucie poetyckim w 1568 roku opuszcza kraj rodzinny z przyczyn bliżej nieznanych i udaje się do Włoch, wstępując na służbę młodego dyplomaty papieskiego Giulio D'Acquaviva. Szybko jednak zamienia karierę dworzanną na życie żołnierskie. Poznaję gruntownie Włochy, bierze udział w bitwie z flotą turecką koło Lepanto w 1571 roku, zostaje ranny, tracąc rękę w lewej ręce; do ostatnich lat życia z dumą wspominać będzie fakt, że dane mu było okryć się sławą w największej bitwie morskiej XVI wieku.

W 1575 roku następuje w życiu autora „Don Quijote’a” punkt zwrotny. Życie wojskowe oprócz zadzwolenia krajów nie dało mu nic. Cervantes zbliża się do trzydziestego roku życia, Potrzeba stabilizacji na-

KALIKST MORAWSKI

CERVANTES NA TLE EPOKI

suwa mu się jako zrozumiała konieczność. Wraz z bratem swym Rodrygem postanawia wrócić do ojczyzny, zapoatrzon w listy polecające swych dowódców, m. in. w list zwycięzcy spod Lepanto Don Juana D'Austria. Okręt, na którym żeglował ku wybrzeżom Hiszpanii, wraz z załogą wpadł w ręce korsarzy algierskich. Pięć lat niewoli było dla Cervantesa twardą szkołą zyciową. Upokorzenie, przekreślenie śmiałych planów życiowych, pustka i bezradność towarzyszyły mu podczas przymusowego pobytu w Afryce. Poznał tam wprawdzie kulturę muzułmańską, obserwował barwne życie wschodnie, ale jednocześnie był świadkiem okrucieństw korsarzy, widział niedolę swych towarzyszy. W tych warunkach ujawnia się w całej pełni wielka energia i uczciwość Cervantesa. Organizuje kilka prób ucieczki, a gdy te wskutek zdrady zostają udaremnione, bierze śmiało na siebie odpowiedzialność, osłaniając swych towarzyszy. Wykupiony przez zakonników w 1580 roku wraca wreszcie do Hiszpanii. Znowu nie mając środków do życia zaciąga się do wojska. Debiut literacki na szerszą skalę — ogłoszenie powieści pasterskiej „Galatea” (1585 r.) — nie przyniósł spodziewanych sukcesów. Nieudane małżeństwo z Doną Cataliną, de Palacios Salazar powiększyło tylko trudności życiowe. Po roku Cervantes opuszcza żonę i udaje się w świat poszukując jakiegokolwiek zarobku. Zatrzymuje się w Sewilli miesiąc bogatym i handlowym; tu rozpoczyna się okres trudny, pełen przykrości i upokorzeń. Pozbawiony możnych protektorów, zajmuje się sprawami dalekimi od pisarskiego powołania. Jest dostawcą zboża dla floty hiszpańskiej, sztykującej się do podboju Anglii, jest poborcą podatkowym. Poznaje dokładnie życie i obyczaje południowej i środkowej Hiszpanii, lecz nie może się dobrze czuć w takiej roli. Szereg nieprzyjemności, prowadzących nawet do uwięzienia pisarza, trudności finansowe, ciągle nie pokonane, kształtują warunki, w jakich powstały wielkie dzieła Cer-

vantesa. Pomimo niesprzyjających warunków Cervantes pisze ciągle. Pracuje nad „Don Quijotem”. Komponuje różnego rodzaju dramaty, żywi śmiałe plany literackie. Ostatnie 11 lat życia, to okres stosunkowo najpomyślniejszy w życiu pisarza, choć bardzo jeszcze daleki od ideału. Cervantes zdobył sobie sławę, zyskał również poparcie osób wpływowych. Po wielu latach trudów i przeciwności fortuna zaczęła okazywać mu łaskawie nieco oblicze. Lecz — jak powiedział — nie na długo. Choroba, postępująca coraz szybciej w ostatnich miesiącach życia, położyła kres jego twórczości.

Niewątpliwie, poważne trudności nasuwa zadanie naskikowania tła epoki. Epoki, obfitujące w wydarzenia nieprzeciętnej wagi, bogate w niezwykłe postaci ludzkie i w problemy życiowe różnego rodzaju. Cervantes wzrastał w okresie niewątpliwie jeszcze polegi Hiszpanii, której zmierzch po 1588 roku, po klęsce Armady, zaznacza się coraz wyraźniej. Twórca „Don Quijota” żyje więc w epoce kryzysu i jest świadkiem dość gwałtownego pod koniec wieku XVI przejścia od wielkości do upadku.

Upadek gospodarczy Hiszpanii szczególnie rzucał się w oczy. Rolnictwo, handel i przemysł staczały się coraz niżej; zanik energii życiowej, zebrałto, wczөгostwo, ponadto brak pieniędzy stanowiły najważniejsze cechy tego stanu rzeczy. Walka idei państwowej z silnymi jeszcze pozostałościami feudalizmu, krytyczny stosunek do króla, przy jednoczesnym zachowaniu lojalności wobec instytucji monarchii, walka z Moryskami, i wzrastająca na tym tle fała niechęci, a nawet nienawiści rasowej i religijnej — nadawały ówczesnemu życiu publicznemu specjalne oblicze. W dziedzinie moralności coraz bardziej postępujący upadek obyczajowy, z trudem maskowany zewnętrzną pobożnością i swoistym poczuciem honoru oraz pikaryzm, polegający na unikaniu życia regularnego, pracy i porządku, widoczne były na każdym kroku.

W dziedzinie życia umysłowego

humanizm ustępując powoli miejsca koncepcjom barokowym, wytwarza się zamilowanie do formalizmu i efekciarstwa. Powodzenie powieści sentymtalno - pasterskiej oraz powieści pikar rzuca charakterystyczne światło na nowe upodobania w dziedzinie literatury i sztuki. Szczera niewątpliwie religijność hiszpańska nie uchroniła się od ujemnych wpływów czasu. Zamilowanie do zewnętrznej pobożności, mechanizacja życia religijnego, kontrola swobody myśli przez inkwizycję to jeden aspekt zagadnienia. Drugi — to zwrot do mistycyzmu. Dla jednych będzie to ucieczka od smutnej rzeczywistości i pograżenie się w przeziębici czysto religijnych, dla innych — pogłębienie życia duchowego.

Jasną stroną ówczesnych stosunków był bujny rozkwit literatury i sztuki. Teatr cieszył się niezwykłym powodzeniem, o czym świadczy kariera Lope de Vega czy też Calderona. Powieści pikar dziełki Lazarrillo de Tormes i Guzmanowi z Alfarache, osiągnęły wysoki stopień rozwoju. Powieści pasterska Montemayora miała licznych wyznawców i szeroki krąg wielbicieli. Malarstwo dzięki talentom tej miary co El Greco stanęło na niezwykłym wysokim poziomie. Tak wyglądał schyłek panowania Karola V, okres Filipa II i Filipa III.

Ówczesne wydarzenia jak również koleje życia Cervantesa znalazły szerokie echo w jego twórczości literackiej. Omówienie wszystkich ważniejszych przykładów, w których wpływ epoki uwidacznia się bezspornie, wykracza poza ramy niniejszego artykułu. Z konieczności wypadnie ograniczyć się do przedstawienia sposobu, w jaki występuje w dziele Cervantesa współczesne mu kierunki literackie, jak autor odzworzył życie codzienne, w jakim stopniu możemy uchwycić echa realizmu, mistycyzmu i humanizmu, zwłaszcza zaś wpływ Erasma z Rotterdamu.

Wpływ literackie i tendencje literackie epoki są stosunkowo najłatwiejsze do uchwycenia, Szeroki

nurt powieści pastersko - sentymtalnej ogarnął i Cervantesa. W „Don Quijocie”, zwłaszcza w jego pierwszej części, mamy szereg motywów pasterskich (np. historia Grisostoma i pasterki Marceli zakończone śmiercią nieszczęśliwego kochanka). Jego „Galatea” (1585 r.) jest dowodem, że Cervantes przyjął sobie styl i główne koncepcje tego rodzaju utworu; postaci bohaterów a zwłaszcza ramy zewnętrzne, w jakie włoczona jest szczypta zresztą akcja, są sztuczne i przez to nieprzekonywujące. W nowelach umiemyśmy w „Don Quijocie” Cervantes o wiele bardziej zbliżył się do realizmu w odmalowaniu ludzi i stosunków co wybitnie powiększa wartość utworu. Właśnie historia Grisostoma i Marceli to nie tylko historia nieszczęśliwej miłości bohatera, ale jednocześnie odprawa, jaką autor dał natrętnym wielbielcom, usiłującym jękami, łzami i rozpaczą zdobyć sobie uczucia ukochanej kobiety, w ten sposób autor oddał się od szablonu powieści pasterskiej.

Silniejszy wpływ opowieści typu pikar daje się zauważyć w niektórych „Nowelach przykładowych”. Znana nowela „Rinconete y Cortadillo” odzwiera nam nie tylko świat pikar, lecz w jeszcze większym stopniu świat przestępcy Sewilli.

W twórczości dramatycznej Cervantes stara się iść własnymi drogami przeciwstawiając się panującemu kierunkowi Lope de Vega. Jego ambicją było stworzenie sztuki klasycznej w budowie, odzwierciedlającej w sposób prawdopodobny życie społeczne. Wiemy, że w dziedzinie dramatu niewiele jednak osiągnął. Brak mu było głębszego nerwu dramatycznego; Lope de Vega górował nad nim w sposób oczywisty. Wielu czytelników w Hiszpanii miało fantastyczne powieści sentymtalno - podręczne. Cervantes usiłował odnowić ten rodzaj twórczości dodając szereg elementów realistycznych.

Wreszcie Cervantes zajął stanowisko wobec modnej wówczas po-

wieści rycerskiej, której wzorem był Amadis de Gaula. Powieść ta, pełna nieprawdopodobnych sytuacji, różniąc się od rycerzy o niezwykłej odwadze i sile, z pięknymi kasztelaniami i z dobrymi lub złymi czaroksiężnikami, odcierwana całkowicie od rzeczywistości, silnie oddziaływała na fantazję czytelnika hiszpańskiego. Czy „Don Quijote” jest tylko satyrą na ten rodzaj powieści? Dużo względów przemawia za tym, by widzieć w arcydziele Cervantesa coś więcej. Cervantes znał te powieści, zna je również szereg postaci z jego „Don Quijote’a”, które podążają raczej szkodliwą recepcję tych utworów oraz ich wynaturzenia niż samą powieść. Jest rzeczą powszechnie znaną, że postać Don Quijota pomimo wszystkich dziwactw budzi szacunek i sympatię. Możł we więc, że autor zamierzał początkowo ośmieszyć powieści rycerskie. Pierwsza eskapada Don Quijote’a jest istotnie ośmieszeniem błędnego rycerstwa. Później jednak powieść rozrosła się i ostateczny wynik przekroczył znacznie pierwotne założenia.

Z tego pobieżnego przeglądu stosunku Cervantesa do literatury wynika jasno, że interesował się on żywo ówczesnym życiem literackim i że starał się przyswoić sobie różne jego formy.

Cervantes jest wielkim realistą. Burzliwe życie dostarczyło mu wielu doświadczeń, które znalazł później odbicie w jego twórczości. Jeżeli przeczytamy „Don Quijote’a”, „Nowele przykładowe”, „Persiles” i niektóre dramaty, zwłaszcza intermedia, stwierdzimy, że lektura ta pozwala dokładnie odtworzyć życie codzienne Hiszpanii. Zaznaczono już, że nawet życie świata przestępczego znalazło swe odbicie w jednej z nowel („Rinconete y Cortadillo”). Życie bogatego mieszczańska odzworzone jest w „El celoso estremo”, „La Gitanilla” daje nam barwny obraz życia cyganów hiszpańskich, a nowela „La fuerza del sangre” — złośliwej młodości tego okresu. „La tia fingida” kwestionuje w odniesieniu

(Dokończenie na str. 7)

PO PRÓBIE GENERALNEJ „NIEKRASOWA”



Po raz pierwszy w historii publiczność paryska zetknęła się z prastarą kulturą Chin

PARYSKIE ŻNIWA TEATRALNE

JUŻ blisko miesiąc trwa w Paryżu rendez-vous najwybitniejszych zespołów teatralnych świata, najwyższy czas, aby objąć wzrokiem znaczną część tej imponującej imprezy, dokonać pierwszego, niekompletnego oczywiście, bilansu Rozmach tegoroczny II Festiwalu Międzynarodowego Sztuki Dramatycznej zorganizowanego przez Miasto Paryż jest faktem, który w pełni ocenić dopiero można w porównaniu z festiwalem roku ubiegłego. Wtedy brały udział zespoły teatralne 12 narodowości — w r. 1955 natomiast 28 zespołów reprezentuje 21 narodów, postępująca się piętnastoma różnymi językami.

Festiwal odbywa się w bardzo starej i nienowoczesnej sali teatru Sarah-Bernhardt, miejscu przepojonym historią wielkiego teatru francuskiego, lecz bynajmniej nie idealnym dla imprez tego rodzaju. Wystarczy nadmienić, że teatr ten nie posiada sceny obrotowej. Jak wobec tego poradzi sobie Bertolt Brecht, który tak często używa tego „technicznego” chwytu w swoim „Kaukaskim Kredowym Kole”, z którym przyjechał na Festiwal? Część sztuk grana jest również na scenie teatru Hébertot.

Do Paryża ściągają głośnie zespoły teatralne spod wielu równoleżników geograficznych. Opera Pekinińska (po raz pierwszy w historii na gościnnie występach w Paryżu), angielski Theatre Worskoph, Berliner Ensemble i teatr San Ferdinando z Neapolu... Długo trwałoby wliczanie wszystkich zespołów. Teatry krakowskie przywoziły z sobą „Zemstę” Fredry i „Lato w Nohant” Iwaszkiewicza. Na tym wielkim przeglądzie scen z całego świata, sąsiadowały z sobą inscenizacje najzupełniej odmienne, reprezentujące różne poglądy, tradycje i teorie. Tę „wielojęzyczność” teatralną przyniosły już pierwsze dni festiwalu, gdy publiczność mogła usłyszeć w niedalekim sąsiedztwie znany, realistyczny Abbey Theatre z Dublina oraz londyński nowoczesny Worskoph z Londynu.

Irlancki Abbey Theatre przywoził z sobą dwie sztuki „The Plough and the Stars” (Plug i gwiazdy) irlandzkiego autora Sean O'Casey oraz sztukę Douglas Hyde „Au Posad”. Teatr Abbey z Dublina, powstały w 1904 roku, jest teatrem narodowym, a więc dźwiaga na sobie obowiązki „wielkiej reprezentacji”. Obowiązki te zazwyczaj wpływają na styl widowisk, tak też się stało w tym wypadku. Abbey Theatre jest sceną realistyczną, nie przejmującą się zbytnio teatralnymi rewolucjami Europy. Wystawia zazwyczaj klasyczne irlandzkie, do których należy właśnie O'Casey, robi to dokładnie, tradycyjnie, aby nie zagubić żadnego szczegółu podziwianego przez dawne pokolenia. Któryś z krytyków słusznie porównał przedstawienie z „Plugu i gwiazd” do utworów Gorkiego. Istotnie, w atmosferze teatru i styl jego mis en scene jest coś z moskiewskiego Teatru Sztuki lub „Théâtre Libre” Antoine'a. Ogromna dokładność w traktowaniu wnętrza i kostiumów gra aktorów, czasem naturalistyczna, potrafi to wrażeń. Sztuka mówi o rewolucji irlandzkiej 1916 r. widzianej oczami drobnych mieszczan, rzemieślników i robotników...

Natomiast londyński Theatre Worskoph reprezentuje odmienne założenia. Zresztą nie dziwne, nie jest bowiem ani teatrem reprezentacyjnym, ani „realistycznym” w sensie surowej wierności tradycji inscenizacyjnej. Jeszcze kilka tygodni przed rozpoczęciem festiwalu nie wiadomo o jego istnieniu. Powstał on burdzo samorzutnie i spontanicznie z inicjatywy kilku energicznych dramaturgów i reżyserów (wśród nich znany publiczności polskiej Euan Mac Coll, autor „Podrozie”) w robotniczej dzielnicy East End. W istocie jest on zespołem utalentowanych amatorów, którzy opierają na deskach Worskoph osiągnęli swoją dojrzałość aktorską. Zespół ten nawiązuje do świetnej tradycji elzbietanckiej, która w swej ogromnej „powściągliwości” scenograficznej i stylu gry aktorskiej ucieka barzo na rękę nowoczesnym tendencjom w teatrze. Kierownik zespołu Joan Littlewood zdaje się bardzo szczególnie łączyć tradycję z nowoczesnością, czego dowodem było wystawienie anonimowego dramatu mitosowego z epoki elzbietanckiej „Arden Faversham” oraz „Volpone” Ben Jonsona. Przedstawienia tego teatru odznaczają się francuskim tempem gry, nadzwyczajną błyskotliwością, na wskroś współczesną. „Volpone” znany publiczności paryskiej z inscenizacji Dullina w Théâtre d'Atelier i z filmu (z Jouvetem) — nagle objawił się w nowej postaci. Inszenizatorzy wydobyli zupełnie nowe wartości tego mieszczańskiego dramatu obyczajowego. Worskoph odniósł rewelacyjny sukces w Sarah-Bernhardt.

Przedstawienia Narodowego Teatru Belgijskiego, który wystąpił z moralitetem XV-wiecznym „Eckerlyc” (w języku flamandzkim), jedyną z wcześniejszych wersji „Jedermann”, oraz z farsą „La botte couronnée” — zostały przyjęte z zainteresowaniem. Jednakże w tym wypadku znowu mieliśmy do czynienia z „wielką reprezentacją”, z teatrem klasycznym.

NIE przyniósł rewelacji „poa prawny” „Skapiec” Moliera, przywieziony do Paryża przez zespół Suomen Kansallisteatteri z Helsinek, podobnie jak wyróżniane przedstawienie „Edypa Króla” Sofoklesa, wystawionego przez Centre Dramatique Rommand z Lozanny. Powiew prawdziwej egzotyki teatralnej przyniósł z sobą dopiero neapolitański teatr San Ferdinando kierowany przez znakomitego dramaturga, aktora i reżysera włoskiego Edoardo de Filippo. Obok Piccolo Teatro z Mediolanu San Ferdinando jest najwybitniejszą sceną włoską. Podobnie jak Brecht w Berliner Ensemble — De Filippo przeważnie inscenizuje własne sztuki, pisane pod ogromnym wpływem dawnych narodowych form scenicznych commedia dell'arte. De Filippo przywoził na festiwal paryski swoją sztukę „Questi fantasi”, której inscenizacja jest jak zawsze jego osobistym dziełem. Temat, być może blady, wzięty jak zazwyczaj z życia „szarych ludzi”. Mieszkanie mateliskie nawiedzane rzekomo przez ducha; duchem tym jest „ten trzeci”, tzn. kochanek. „Kawał życia codziennego” jak nazwała ten spektakl krytyka paryska. Ale jak temperament, jak odkrywcze nawiązanie do wymarłych rodzajów farsowych, jakże wspaniała gra de Filippo, jednego z największych mimików europejskich. Jaka szkoda, że nie mógł go usłyszeć w tej roli jedyny chyba konkurent de Filippo w tej sztuce — Jean Louis Barrault.

WRESZCIE, po dość przeciętnym przedstawieniu „Jegora Butyczowa” Gorkiego wystawionym przez teatr belgradzki — zbliżamy się do „wielkich dni”, ja-

kie przeżył Paryż podczas występu narodowej Opery Pekinińskiej. Ten sukces nie miał sobie równych w dziejach powojennych spotkań teatralnych. Oto, po raz pierwszy w dziejach, wyrafinowana chińska kultura sceniczna i muzyczna zetknęła się z wielką, lecz o ileż wieków młodszą — kulturą francuską. Francuska publiczność odniosła się nie tyle z szacunkiem do zespołu dźwiękającego na sobie tradycję tysiącleci — ile z nieklamaniem, trzęsaniem. Ale zanim zajmujemy się bliżej tym spotkaniem, kilka słów o polskich występach, które miały miejsce bezpośrednio przed przedstawieniami chińskimi. Na pewno nie odnieśliśmy sukcesu takiego, jaki w zeszłym roku przyniósł nam fredrowski „Mąż i Żona”. Prasa na ogół wyrażała się o naszych spektaklach z życzliwą powściągliwością i „interessent” lub „très interessent” dominował w tych recenzjach i omówieniach. Owe zainteresowanie zawdzięczamy tym razem na pewno nie Fredrze, lecz Iwaszkiewiczowi, którego kultura literacka nie straciła bynajmniej, na blasku w Paryżu. Ciekawość Francuzów podniecała jeszcze zapowiedź ujrzenia na scenie (pomoć po raz pierwszy!) legendarnej już dzisiaj postaci z dziejów literatury romantycznej Georges Sand, jej rodziny, tudzież Chopina. W istocie, w dniu pierwszego przedstawienia „Lato w Nohant” na widownię przybyła nawet sędziwa unuczka Georges Sand, po to aby ujrzeć na scenie swego ojca w postaci Maurycego. Niektóre dzienniki przyniosły nawet wiadomość, że po przedstawieniu unuczka Georges Sand miała powiedzieć do Zofii Jaroszewskiej, wykonawczyni roli francuskiej pisarki: „Teraz, dzięki pani, zrozumiałam uczucia swojej babki”. Dekoracje Tadeusza Kantora zyskały sobie wiele przychylności. „Lato w Nohant” wynagrodziło pewne znużenie, jakie opanowało widownię francuską podczas spektaklu „Zemsty”. Nie

zrozumieli blahej w istocie intrygi sztuki, nasze szlachetkie zwady nie miały dla tej publiczności żadnego uroku, a zbyt daleko już odszły od typów „muzycznych”, celebrowanych przedstawień, aby Polska rewia kontuzjów, żupanów, o raz wnętrza z epoki młodego, niekiedy większe wrażeń. Trzeba przyznać (między nami) trudno było dokonać mniej szczęśliwego wyboru Recenzje z „Zemsty” utrzymane były w tonie życzliwym, niekiedy nawet uroczystym, uroczystym, jak byśmy przywieźli do Paryża co najmniej „Dziady” czy „Legion” Wyspiańskiego.

Trudno porównać z zachwytem, uniesieniem, entuzjazmem, jaki towarzyszył, poprzedniego dnia występem Opery Pekinińskiej i teatru ludowego z Liao-Niny. Dla Francuzów było to wielkie odkrycie, nie oczekiwana niespodzianka. Podziwiano ogrom tego widowiska, który zawiera jakąś syntezę, jakąś całość teatru w ogóle, streczka i łączy wszystkie jego środki wyrazu: muzykę, gest słowo, mimikę, wyraz plastyczny. I to największe, najbardziej wyszukane bogactwo połączone z ogromną skromnością. Wyrazistość gestu zastępuje nieistniejące przedmioty na scenie, długie tyrady stają się zbędne, mimika potrafi wyrazić treść subtelniej od słów. Jakże teatr europejski w porównaniu z tą sceną drgającą rytmem, wyrazem najbardziej subtelnych uczuć, bogactwem form, wydaje się niekompletnym, z gruba ciosanym... Setki możliwych połączeń dźwięku ze słowem, barwy z dźwiękiem i gestem uchodzą uwadze naszych dramaturgów. A ponadto nigdy teatr europejski nie spełniał tej potrzebnej, społecznej roli, jak teatr chiński, który uczył wychowywać i bawił. Paryż powitał ten teatr z otwartym sercem.

S POTKANIEM Jean-Paul Sartre'a na słynnym w Paryżu przedstawieniu Opery Pekinińskiej — i oto w dwa dni później widzimy się znowu, przeniesieni z Sarah — Bernhardt do Théâtre Antoine, gdzie dzisiejszego wieczoru odbyła się próba generalna nowej sztuki Sartre'a pt. „Niekrasow”, farsy w 2-ach aktach i 8-miu obrazach.

Jean Paul Sartre'a przyjmuje mnie z wielką życzliwością w zadymionym gabinecie, który znowu dzięki nam zapełnia się dymem. Obserwuję jego błyszczące zaszkie okularów oczy, jego ręce zdumiewająco ekspresywne w swoich krótkich, nerwowych ruchach... — Na zaproszeniu przyslanym do mnie z okazji „generalnej” „Niekrasowa” znalazłem określenie „farsa”, które bardzo mnie zdziwiło. Dlaczego nazwał Pan swą sztukę farsą i jakie jest Pana o tym zdanie?

— Ścisłe biorąc powinna ona nosić miano „farsy-satyry”. Dlatego, że właśnie napisanie satyry leżało w moim zamiarze. W naszych czasach, satyra najbardziej przylega do formy teatralnej, niestety jednak, ten typ widowiska nie jest już w modzie. Wspominam Grecję,

gdzie miała ona wielką funkcję społeczną do spełnienia. I oto zapragnąłem odnaleźć tradycję satyry, przystosowując ją do dzisiejszego smaku publiczności, dokonalem tego właśnie w sztuce ostatnio wykonanej. Zna Pan treść „Niekrasowa” dzieje alerzysty, który podawał się za zbiegłego ministra radzieckiego i dostarczał sensacyjnych wiadomości „wielkiej prasie paryskiej”. Jest to opowieść nieco wyolbrzymiona w swych wymiarach, lecz niemniej typowa. Mysiąc o Niekrasowie można wspomnieć Matusowa, słynnego świadka w amerykańskich procesach antykomunistycznych. Oto jeden z tych, którzy byliby postaciami z farsy, gdyby nie wsadzali ludzi do więzień Oczywiście, ten typ sztuki może wywołać gwałtowną reakcję prasy „Prawicowa” satyra jest tolerowana, zobaczymy, czy może mieć u nas miejsce satyra z pozycji lewicowej.

— Jeszcze przed ujrzeniem świętej sceny, sztuka Pana o ile mi wiadomo, wywołała wielkie poruszenie

— Tak. „Figaro” opublikowało artykuł prowokacyjny. Sugerowało ono, że napisałem sztukę „krytykomyślną”. „Figaro” jak wynika z tego, zagubiło grecki sens słów, gdyż „krypto” oznacza „ukryty”. Tymczasem ja nie zamierzam nic ukrywać, chcę ukazać w „Niekrasowie”, zło jakie wyrządził może antykomunistyczna kampania prasowa. Nawoływać do bojkotu mojej sztuki jeszcze przed jej ujrzeniem, jedynie na podstawie plotek — to rzecz niedopuszczalna.

— Nie chodzi mi w tym wypadku o „prawdę wyolbrzymioną” lecz o „zdeformowaną”, ale proceder jest nie mniej bardzo charakterystyczny dla „Figaro”. Dlatego temat poruszony przez Pana...

— Pragnę wnieść swój wkład piosarza w walkę o pokój. Przyjeżdżam zobowiązania w Wiedniu, których trzeba dotrzymać. W chwili gdy obserwujemy odprężenie w stosunkach międzynarodowych, gdy zbliża się Konferencja Czterech,

jedno z najgroźniejszych wędzideł wstrzymujących naszą działalność i nasze nadzieje ukiya się w akcjach tej prasy, która pragnie rozjątrzenia i skłócenia sił społecznych naszego narodu. Chciałem czarne na białem ukazać proceder uprawiany przez tę prasę, otworzyć oczy ludziom „dobrej woli”. Być może jest to założenie negatywne. Ale tutaj i teraz teatr musi być niezbedny właśnie przez swój aspekt negatywny rzeczywistości to znaczy przez satyrę

— Jest to „negatywność w rezultacie bardzo pozytywna. Z pewnością nie odrzucił Pan określenia „demistyfikacja” w stosunku do swojej sztuki?

— Oczywiście, że nie. To jest na pewno „demistyfikacja”. Sztuka ta wyrosła z mojej woli zastąpienia mitów rzeczywistości społecznej. W sztuce „Le Diable et le Bon-Dieu” wprowadziłem w tę rzeczywistość — ale poprzez miły Obecnie chcę być całkowicie zrozumiały. Jednak trzeba to przyznać. Istnieje rozdźwięk pomiędzy sprawami jakie chciałbym poruszyć a dzisiejszą publicznością teatrów paryskich. Wydaje się paradoksem wystawić taką sztukę dla tej właśnie publiczności.

Jean Paul Sartre myśli zapewne o publiczności ludowej, która powinna wypełnić widownię Théâtre Antoine. Zbliżyć te publiczność do wielkiego teatru, czyż to nie jest zadanie wszystkich służebników Sztuki Dramatycznej?

Chciałem dowiedzieć się czegoś jeszcze na ten temat, ale jest już późno, a autor „Niekrasowa” ma dni wypełnione całkowicie pracą. Mijmy nadzieję, że „szeroka publiczność” będzie mogła wstąpić choć raz w progi Théâtre Antoine (miejsców najtańsze kosztują tam 200 franków). Satyra jest sprawą ludu. Satyra domaga się ludu jako odbiorcy. Można gratulować autorowi, że tak właśnie tę prawdę pojął.

GUY LECLERC

*) Na podstawie l'Humanité.



Pełne wdzięku tancerki Opery Pekinińskiej podbiły serca paryżan.

W Pradze śpiewają Ogniste Ptaki

OPINIA krytyki muzycznej w Czechosłowacji za największą indywidualność tegorocznej „Wiosny Praskiej” uznała jedynogojnie Eugeniusza Mrawińskiego. Rzeczywiście, ten wysoki, szczupły, niezdarny jeszcze mężczyzna o szerokim, zamysłowym czole dał w Pradze poglądową lekcję dyrygentury i potwierdził krajażę wieści, że należy do niezrównanych mistrzów w interpretacji dzieł Szostakowicza czy Prokofiewa.

V Symfonia Prokofiewa prowadzona przez wielkiego artystę przemówiła akcentami bolesnymi, przynębiającym nastrojem okupacyjnej nocy, przeplatany jednak wzmagającym się, uporczywym głosem nadziei na rychłe zwycięstwo. Trudno o lepszą interpretację, o lepsze wykonanie (Mrawiński dyrygował słynną leningradzką orkiestrą symfoniczną, którą przywoził ze sobą na festiwal).

Albo VI Symfonia Szostakowicza, dzieło mało popularne, rzadko grywane, nawet surowo krytykowane przez ojczysty Olimp muzyczny kompozytora. W interpretacji Mrawińskiego budzi się w niej cały świat uczuć od filozoficznej, pełnej zadumy medytacji largo, aż po ogromnie żywe, radosne presto. Utwór nabiera barw i wyrazu, zaciekawia, porusza.

Indywidualizm Mrawińskiego postępuje jeszcze dalej. Sugestywność w odmalowaniu dzieł miłości nieszczęsnych kochanek w romantycznej opowieści muzycznej Czajkowskiego „Franceska da Ri-

mini”, czy przede wszystkim wątki optymizmu i pogody, jakie wniósł do wykonywanej dotąd w duchu całkowitej rezygnacji V Symfonii Czajkowskiego wprowadził słuchaczy do koncertów w nastrój podobny finałom warszawskiego konkursu chopinowskiego.

A tymczasem obok Mrawińskiego „Praska Wiosna” muzyczna gościła innych równie sławnych dyrygentów. André Cluytens prowadził w wieczorze muzyki francuskiej „Symfonię Fantastyczną” — Hectora Berlioz, „Rapsodię Hiszpańską” — Ravela, „Ariane i Bacchusa” — Roussela. Eric Kleiber przedstawia poetyczną wersję „szóstej” beethovenowskiej. Dyryguje Constantino Silvestri, Mario Rossi, Bohdan Wodiczko i inni. Codziennie odbywają się dwa, trzy, cztery koncerty. Obok wielkich zespołów symfonicznych z Budapesztu, Pragi, Leningradu, Brna występują orkiestry kameralne, zespoły wokalne, a także soliści z 25 krajów. Sala koncertowa Smetany, ogrody przy pałacu Wallensteina, Teatr Narodowy, cała Praga bogata w muzyczne tradycje, najbliższe miasto Mozarta żyje dziesiątymi z kolei jubileuszowym festiwalem.

Przebiega burzeli trochę, że nie przyjechał Stokowski czy Benediti, że w zeszłym roku był Richter, że to jubileusz, więc oczekiwali większego zjazdu wybitnych wirtuozów. Szybko jednak zapomnieli o żalu. Występy pianistek francuskiej Jeanne Marie Darré i Nicole Henriot, świetnych skrzypków Le-

onida Kogana z ZSSR, czy Anglika — Alfreda Campoli, a przede wszystkim cudownego wiolonczelisty radzieckiego Roztropowicza stawianego przez krytykę obok słynnego w tej dziedzinie Pablo Casals — musiały wpłynąć na zrewidowanie nastawień gospodarzy co do poziomu tegorocznej imprezy.

Do zmiany tych nastawień przyczynił się też pewen młody pianista, o którym specjalnie przyjemnie pisać.

Adam Harasiewicz, nadzieja naszej pianistyki, powtórzył w Pradze w koncercie e-moll Fryderyka Chopina swój warszawski sukces. Powtórzył go także i w mazurkach, które grał tak pięknie, że zdumieni słuchacze nie chcieli uwierzyć, iż w konkursie warszawskim znalazł się ktoś, czyje wykonanie mazurków oceniono jeszcze wyżej.

— „To wybitny chopinista” — komentowano na sali.

— „Chopinista... — dorzucił jakiś głos — a słyszeliście go w preludiach Rachmaninowa?”

Tak więc pierwszy występ zagraniczny Harasiewicza potwierdził słuszność decyzji sędziów V konkursu. Nasz młody laureat nie tylko oczarował praską publiczność, ale co już o wiele trudniejsze zdobył zarazem przychylności czeskich i zagranicznych krytyków muzycznych przebywających w Pradze.

Skoro jesteśmy już przy naszych słowach warto kilka krytycznych słów skierować pod adresem Polskiego Radia. Rozumiem, że Praga też jest w eterze i że zaintereso-

wani festiwalem mogli bezpośrednio złapać ją na antenie. Wydaje się jednak, że Polskie Radio mogłoby ułatwić te trudy (szczególnie właścicielom odbiorników obejmujących swym zasięgiem nie wiele więcej ponad Warszawę) i przetransmitować najciekawsze choćby występy Mrawińskiego, Roztropowicza, Darré czy Campoli. Zainteresowanie muzyczną „Wiosną Praską” nie było rzeczy jasną tak powszechną jak Bokserskimi Mistrzostwami Europy. Wielu jednak odbiorników żywi cichą i głośną pretensją do władców Polskiego Radia za to, że praskiemu festiwalowi poświęcili jedyną audycję i to z mniej ciekawej imprezy jaką był koncert laureatów konkursu wiolonczelowego im. Hanusza Wichana.

Program „Praska Jaro” i w tym roku był urozmaicony i bogaty. Od „żelaznych” utworów rodzimych kompozytorów Smetany, Dworzaka i Janaczka, Suka, Novaka i innych poprzez monumentalne dzieła klasycznych, romantycznych i neoromantycznych festiwal nie pominął i współczesności. I tu właśnie spotkała miłośników muzyki przyjemna niespodzianka. Poza kompozycjami Prokofiewa i Szostakowicza, Ravela i Hindemitha, orkiestra symfoniczna radia budapeszteńskiego wykonała „Ogniste Ptaki” — Igora Strawińskiego...

Podczas gdy ty, polski słuchacz, darownie czekasz na śpiew Ognistego Ptaka...

Cervantes na tle epoki

(Dokończenie ze str. 5)

do tej ostatniej noweli. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że część krytyki autorstwa Cervantesa. Magister ze szkła („El licenciado Vidriera”) daje nam obraz życia studentów oraz życie miasta uniwersyteckiego. Z dzieł Cervantesa dowiadujemy się, jak wyglądała karczna hiszpańska w XVI wieku („Don Quijote” oraz nowela „La ilustre fregona”). Dużo charakterystycznego światła na różne zakamarki codziennego życia rzuca również nowela: „El coloquio entre dos peros”. Z „Don Quijote’a” dowiadujemy się, jak wyglądało życie aktorów, duchowieństwa, możnych panów, drobnej i średniozamożnej szlachty, wreszcie chłopca. Cervantes przedstawia życie Hiszpanii barwnie, interesująco, z widoczną znajomością opisywanych rzeczy. Gdy w „Don Quijocie” twarzyszymy nieśmiertelnej parze w jej wędrówkach, znajdujemy potwierdzenie ujemnych skutków kryzysu społecznego i gospodarczego wraz z jego konsekwencjami moralnymi. Uderza fakt, że stosunkowo mało spotykamy tu ludzi pracujących, stwierdzamy wynudzenie kraju, biedę, upadek rolnictwa, przesadny rozwój pasterstwa i hodowli. Widzimy bandytów, cały szereg niebieskich ptaków, spotykamy się z luźnicami, zwłaszcza w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości. Nic więc dziwnego, że pogodny na ogół ton opowieści Cervantesa dość często zostaje przerywany melancholijnymi refleksjami. Obraz ten w wielu wypadkach mógł pobudzać fantazję autora, lecz nie do tego stopnia, by zagłuszyć całkowicie głos sumienia i krytyki.

W dziele Cervantesa spotykamy pewną nutę mistyczną, charakterystyczną dla epoki. Niewątpliwie ma w sobie coś mistycznego tęsknota Don Quijota do ideału, jego oderwanie się od rzeczywistości ziemskiej, uporcezywe trzymanie się własnej koncepcji życia, dobra i piękna. Nie jest to jednakże czystej krwi mistycyzm religijny. Cervantes był wierzącym katolikiem, często podkreśla swe przywiązanie i wierność dla Kościoła. Lecz nie widzimy w nim głębszego zainteresowania się problematyką religijną. Przyjmuje on bez dyskusji podstawowe dogmaty katolickie i stoi na gruncie etyki chrześcijańskiej. To wszystko nie

List do Redakcji

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem wywiad ze znakomitą pianistką Haliną Czerny-Stefańska o jej występach gościnnych w Jugosławii. Podczas lektury jednak zaskoczyło mnie niepokojące zdanie o języku jugosłowiańskim, który jest bardziej zrozumiały dla Polaka niż — dajmy na to — czeski.

Należy stwierdzić, że popłynięto tu dwa zasadnicze z punktu widzenia językoznawstwa błędy rzeczowe:

po pierwsze — nie ma języka jugosłowiańskiego; mieszkańcy terytorium FRJ używają dwu języków: serbo - chorwackiego czy chorwacko - serbskiego oraz słoweńskiego; po drugie — języki te jako należące do grupy południowo - słowiańskich podlegają odrębnym procesom różnicującym je od języków wschodnio - i zachodnio - słowiańskich, tak że twierdzenie, że są bardziej zrozumiałe dla Polaków niż czeski (należący do grupy zachodnio - słowiańskiej podobnie jak polski, słowacki i oba łużyckie) jest nieporozumieniem.

Prosząc o publikację listu Łączę wyrazy poważania
Andrzej Piotrowski

PS. Jednocześnie sygnalizuję, że w notatce o czechosłowackich laureatach wydrukowano błędnie: translatorskiego zamiast, naturalnie, translatorskiego.

AP

Redaguje Zespół.
Prezentera miesięczna 4 zł
Kwartalna 12 zł
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15).
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wskładniokowe RSW „Prasa” W-wa Marszałkowska 3/5
Zam. Nr. 1345.
B-6 7919.

STEFAN HEINE

W SŁUŻBIE „TEATROWI OGROMNEMU”

Leon Schiller był przede wszystkim wielkim twórcą monumentalnych widowisk scenicznych. Tłumy statystów, ogromna i w pełni wykorzystana przestrzeń sceniczną, ruch i przemysłowa gra światła, w której Schiller znał cel i działanie najskromniejszego bodaj reflektora, muzyka podkreślająca dramatyczność zdarzeń lub subtelnie wiążąca poszczególne fragmenty akcji — rozległy zasób najbardziej skomplikowanych środków i efektów scenicznych, przerażający często innych, mniej z teatralną machiną obeznanych realizatorów — stwarzał Schillerowi wyjątkowe możliwości rozwinięcia prawdziwej wirtuozerii inscenizatorskich pomysłów.

Rozmach inscenizacyjny Schillera zmagał się przeto dość często z ciasnotą i prymitywnością techniczną wielu naszych teatrów. Dlatego też artysta szukał możliwości realizowania wielkich zamierzeń w plenerze. Zagadnienie to zresztą wyrastało z ideologicznych przedświadczeń Schillera, będących jakby teatralną trawestacją mickiewickowskiego marzenia o księżkach „błądzących pod strzechy”. Kolorowe piękno schillerowskich widowisk zachwycać miało przede wszystkim właśnie owych oddalonych od teatru mieszkańców „spod strzech”. Czynnione z powodzeniem próby plenerowego przedstawienia „Krakowiaków i Górali”, jednego z wybitnych arcydzieł inscenizatorskiej sztuki Leona Schillera — przyoblekać poczęły w czyn marzenia artysty o teatrze masowym.

Artystyczny indeks schillerowskiego dorobku zdumiewa imponującą liczbą wybitnych inscenizacji dzieł repertuaru klasycznego oraz utworów dramatycznych, całkowicie częstokroć zapomnianych lub uznanych zdawna za „niesceniczne”, a mimo to zawierających mnóstwo teatralnych walorów, którym właściwą formę wizualną uiała w pełni przywrócić dopiero reżyserska maestria Schillera. On przecież wy dobył symbolizm i głęboki tragizm „Róży” Żeromskiego, przetwarzając niesceniczny dramat w pełne wstrząsające grozy widowisko.

Leon Schiller, przyswajając teatrowi trudne, poetyckie dzieła naszych romantyków lub niektóre — najmniej cech scenicznego mające — dramaty Wyspiańskiego i Szejkspira, sięgając nawet po dramatyzację beletrystyk („Dzieje grzechu” Żeromskiego) — nie cofał się także przed reinkscenizacją dawnych komedio-oper, zapomnianych mieszczańskich wodewilów i bluetek, oraz mniej lub więcej wartościowych, a niekiedy pełnych uroku — antyków scenopisarstwa. Stary, wiele niegdyś popularny i lubiany krakowski wodewil Konstantego Krumłowskiego „Królowa przedmieścia” odżył w słynnej adaptacji Schillera wzbogacanej niepomierne wysokim komizmem dodatkowych realiów środowiska i epoki. Stał się ten wodewil ogromnie zabawnym, pełnym wdzięku wycinkiem historii staromieszczańskich pojęć i zwyczajów.

Schiller — jak każdy zresztą artysta — poszukiwał ustawicznie nowych wartości w sztuce. Wszelkstronna erudycja, szerokie wykształcenie, znajomość kilku języków, ta-

lent wreszcie — stanowiły zespół naturalnych i nabytych walorów, ułatwiających artystyczne łowy i zdobycze w postaci oryginalnych nieraz trofeów z zakresu dramato-pisarstwa. Utwór amerykańskiego pisarza Wildera „Nasze miasto” — wyłowiony i inscenizowany przez Schillera w kilku naszych teatrach przedwojennych — fascynował niezwykłością swych formalnych i treściowych założeń, podniecających wyjątkowo rozległą wyobraźnię niezapomnianego poety - inscenizatora.

Schiller ukazał sztukę Wildera bez jakichkolwiek dekoracji, ograniczając do niezbędnego minimum użycie rekwizytorskich akcesoriów. Zwykła oprawa teatralnego przedstawienia uległa jak najdalej idącej redukcji; nie dotyczyło to jedynie kostiumów. Był to tzw. „teatr w teatrze”. Autor bowiem umiejscowił dramatyczną akcję swojej sztuki w zwykłych ramach codziennej, teatralnej próby, pozabawionej — jak wiadomo — tła i efektów normalnego przedstawienia.

Wrażenie jednak mimo to — a może właśnie dlatego — było do głębi wstrząsające, a w akcie trzecim, którego wypadki rozgrywały się w szarymnie zmierzchu zapadającego na wiejskim cmentarzu — wręcz niesamowite. Groby cmentarne — zgodnie z autorskim zamierzeniem — Schiller zaznaczył zwykłymi krzesłami, na których zasiadli aktorzy, odzwierciedlając postaci zmarłych dawno osób. Zniechęcała, obojętna, zapatrzona w przestrzeń, smutna grupa siedzących aktorów, imitujących podziemnych mieszkańców cmentarza, oddziaływała — niezapomnianą dotychczas — pęsepną dostojnością

śmierci, głębszą i bardziej przejmującą niż krzykliwa paradność bogatych sarkofagów. Deszcz zaznaczono rozpięciem czarnych bań zwartego tiumu parasolów trzymanych przez uczestników żałobnego konduktu, prowadzącego do grobu zmarłą bohaterkę sztuki — i d a c a w grupie żałobników (umowny brak rekwizytów zakazywał wnoszenia trumny), przybrana w muślin i gazę ślubnej toalety, tworzącej wiele wymowny i świadomie przez Schillera zamierzony kontrast z głęboką czernią osób, asystujących pogrzebowym ceremoniom. Kompozycja sceniczna pogłębiła w tej scenie nastrój i skupiona powagę cmentarnych obrzędów, którym Schiller już w inscenizacji mickiewickowskich „Dziadów” umiał nadać nader mocne tchnienie pozaświatowości.

Wielkość artystycznych osiągnięć Schillera i jego ogromna rola w historii naszego teatru nie dadzą się — oczywiście — ująć w ramy pośmiertnego wspomnienia. Zadanie to spełni zapewne obszerna monografia, na którą artysta rzetelnie zasłużył, a która obejmując całość sztuki schillerowskiej tworzyć nie ominię również i tych prac, które — z bliżej nieznanymi powodami — znamionowały czasem nagłe zniżenie górnego zawyżaj lotu reżyserskiej inwencji. Schiller bowiem obok dzieł wielkich i trwałych dawał niekiedy dzieła mniejszej wartości, emfetydy teatralne wręcz w wyrazie artystycznym chybiłone. Może nadmierna niekiedy dowolność w interpretacji autorskiego tekstu czy nieostrożność wobec własnych — budzących sprzeciw — założeń koncepcyjnych, lub też fantazja artysty, nie pozbawiona pewnych cech chimeryczności — stawały się nie-

kiedy przyczyną artystycznych pomylek i zaciemnień, które szczególnie silnie zacięły na powojennej inscenizacji moniuszkowskiej „Hrabiny”.

Są to jednak przysłowiowe już „plamy na słońcu”. Bo koncepcja przedstawienia zachwycała u Schillera konsekwencją i wyrazistością linii artystycznych. A współpraca z nim była zawsze owocna, wносиła ożywcze powiewy w zatęchłą atmosferę teatralnych kułis. Schiller zwykł szybko i zwięźle, z pozorną jakby niedbalnością lub najczęstiej wysokiej klasy dowcipem, określać swoje wyobrażenia aktorskiej interpretacji działających postaci, zostawiając talentowi aktora cześć psychologizacji szczegółów. Obsada przedrealizowanych przez niego sztuk rekrutowała się często z najwybitniejszych naszych aktorów. Irena Solska - Grosserowa, Adventowicz, Wysocka, Węgrzyn i Brydziński, po wojnie Jadwiga Chojnacka w słynnej „Celestynie” — nie zawiedli nigdy reżyserskiego zaufania Schillera, dając wielokrotnie dowody nie tylko talentu, ale wspaniałej ofiarności zwłaszcza w czasie mozolnych prób scenicznych. Schiller bowiem pracował z przedziwną ignorancją wszelkiego poczucia czasu. Próby — tzw. generalne — wykrywały daleko poza termin regulaminem teatralnym przewidzianym.

A jednak owe dosłownie „noce i dni” prób teatralnych pod kierownictwem Schillera jakoś nie nuzęły. Wyczuwało się przecież dobitnie rosnącą z godziny na godzinę wielkość teatralnego wydarzenia.

Stefan Heine



W. Bogusławski. Krakowiacy i Górale, Łódź, Państw. Teatr Wojska Polskiego 1940/7 reż. i insc.: L. Schiller, dek. W. Daszewski.

IRENA TURSKA

WZNOWIENIE SCHILLEROWSKICH „KRAKOWIAKÓW I GÓRALI”

UPEYWA już dziewiąty rok od premiery w roku 1946 w Łodzi słynnej inscenizacji Leona Schillera „Krakowiaków i Górali”. Ożyła ona ponownie w roku 1950 na scenie Teatru Narodowego w Warszawie, a mimo tego czas zrobił już swoje i wiele szczegółów owego świetnego przedstawienia zatarto się w naszej pamięci. Nowa jego rekonstrukcja, w chwili gdy zabrakło już czujnego oka i pewnej ręki Wielkiego Reżysera, była zadaniem nietrywimym i bardzo odpowiedzialnym; nie pozwalało ono na przeoczenie żadnego z tak ważnych dla całości szczegółów, na uronienie choćby jednej myśli z pierwotnych koncepcji inscenizacyjnych. By wskrzesić za tym schillerowski kształt klasycznej „spiewogry” Wojciecha Bogusławskiego nie wystarczyło polegać na pamięci współrealizatorów, która nie mogłaby tak precyzyjnie i bezbłędnie zanotować wszystkich szczegółów inscenizacji i reżyserii. Istnieje jednak bardzo dokładna i staranna partytura reżyserska „Cudu Mniemanego czyli Krakowiaków i Górali” Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Jana Stefaniego — praca Barbary Kilkowskiej, słuchaczki III roku Wydziału Reżyserskiego PWST, sporządzona w latach 1951/52. Zamierzeniem autorki, odbywającej wówczas swe praktyczne studia reżyserskie przy realizacji „Krakowiaków i Górali”, było czytelne i przejrzyste utrwalenie koncepcji inscenizacyjnych Reżysera, mające służyć jako dokument. Autoryzowanie pracy przez Leona Schillera nadało owemu dokumentowi wagę specjalną. Jednakże partytura nie stała się

archiwalnym dokumentem, dala nowe życie sceniczne schillerowskim „Krakowiakom i Góralom”. Dlatego warto się z nią bliżej zapoznać.

We wstępie autorka wyjaśnia, iż jest to zanotowane wznowienie „Krakowiaków” w Teatrze Narodowym w Warszawie ściśle według premierowej inscenizacji łódzkiej. Utrwalone w niej zostały wszystkie konwencje reżyserskie, wypływające z myśli pokazania patriotycznego wodewilu polskiego w wykonaniu aktorów Teatru Bogusławskiego. Wszystkie więc osoby, wypowiedziające mową czy śpiewem, aluzje polityczne i społeczne, przestają w tych momentach być postaciami scenicznymi, a stają się aktorami Bogusławskiego, zwracającą się przeto wprost do widzów; zachowana również została umowność adresowania tych kwestii, wynikająca ze zwyczaju, że po prawej stronie widowni teatralnej zasiadali targowiczanin, do których aktorowie kierowali swe apostrofy.

A teraz parę słów o układzie partytury. W tomie pierwszym wpisano do tekstu słownego wpisana Kilkowska za pomocą numerowanych odsyłaczy analizę tekstu i uwagi tekstowe oraz szczegółowe wskazówki dotyczące światła. Uziębniła to planami sytuacyjnymi z oznaczeniem przy pomocy różnokolorowych kółek rozmieszczenia i zmian miejsc wszystkich postaci. Tom pierwszy zawiera ponadto projekty kostiumów Władysława Daszewskiego (w jednorazowych rysunkach), plany i rysunki dekoracji (cielobarwne) oraz programy i afisze. W tomie drugim miejsce tekstu słownego zajmuje tekst muzyczny (wyciąg fortepianowy sko-

piowany przez Edwarda Wejmiana) z zaznaczeniem obok dokładnych opisów sytuacji, uwag co do światła oraz dokładne zanotowanie tańców.

Partytura stanowiła podstawę rekonstrukcji Schillerowskiego dzieła, dopomogła pamięci współpracowników Schillera: reżyserów Barbary Kilkowskiej i Tadeusza Cyplera, scenografa Władysława Daszewskiego, choreografa Jadwigi Hryniewiczkiej oraz aktora, grającego wówczas rolę Bardosa — Władysława Krasnowieckiego i kierownika muzycznego Władysława Raczowskiego. Wykonawcami obecnego widowiska (premiera 1. VI. 1955 r.) są aktorzy Państwowego Teatru im. Jaracza w Łodzi, śpiewacy młodej Opery Łódzkiej oraz orkiestra Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia. Cały wielki trud zespołu jest aktem holdu, złożonego pamięci Wielkiego Artysty w formie, którą On sam cenil sobie najwyżej, w formie żywego, przemawiającego do serc i umysłów narodu, widowiska.

Ze wzruszeniem słuchamy końcowych słów Aktora w prologu: „Niech rzecz sama za siebie mówi. Mości panie kapelmistrze, niech odezwą się tony młodzieżowej uwertury. A gdy przebrzmie, podnieście opone!” I oto rozwijają się barwne obrazy, migocą pięknie krakowskie i góralskie stroje, brzmią wesole ludowe rytmy taneczne i piosenki, przepiękane nuty pełnych powagi i zadumy refleksji, rozbrzmiewa „młodzieżowa”, jak muzyka, gwara ludowa. W subiektywnym zawsze odbieraniu wrażeń z widowiska, każdego widza-słuchacza uderza szczególnie jakaś jego cecha,

niedostrzeżona przez innych. Dla mnie osobliwie cechą tą jest „utanczenie” schillerowskiego widowiska, dołkane przez ściśle powiązanie słowa i gestu z muzyką, częste przeplatanie prostymi ewolucjami tanecznymi poszczególnych kupletów i piosenek. Klasyczna „spiewogra” Bogusławskiego staje się więc jakby „spiewo-taneczną grą”. Poszczególne w niej tańce: Polonez, Krakowiak (figurujący w 20 niemal lat później jako Krakowiak Państwa Młodych w balecie „Wesele w Ojców” Kurpińskiego, Stefaniego i Damsego), Oberlas, Góralski i Zbójnicki przywodzą na myśl owe czasy odległe, gdy samo ich pojawienie się na scenie teatru publicznego było wielkim zwycięstwem rodzącej się w trudzie sztuki narodowej. Wykonanie ich miało wówczas, posługując się elementami ludowymi, podlegać baletowej XVIII-wiecznej stylizacji w oparciu o obce wzory, o włoską i francuską szkołę klasyczną. Ze szkoły te aktorzy Bogusławskiego znali, wynika z faktu, iż kształceni byli równocześnie w Orze aktorskiej, tańcu i śpiewie — jak jednak wyglądało ich wykonawstwo taneczne — niewiele wiemy. Tym trudniej jest osądzić szlachetność stylizacji tanecznej w „Krakowiakach i Góralach” dziś wystawianych, zwłaszcza jeśli chodzi o tańce góralskie, folklor tak trudny i do dziś dnia podlegający wypaczeniom stylizacyjnym.

Dbałość o prawdę historyczną, nie w wąskim sensie mechanicznego odwzorowania realiów, lecz w sensie ukazania ducha i atmosfery Warszawy w czasie powstania Kościuszkowskiego — cechuje inscenizację „Krakowiaków i Górali”. Dzięki tomu utworu scenicznego Bogusławskiego-Stefaniego, skomponowany według gustów epoki, posiada dziś starożytecki wdzięk i przemawia do współczesnego widza. Sądzę, że obecnym realizatorom widowiska ten wdzięk i tę prawdę udało się zachować.

Kaliksł Morawski

CHOROBA NIEWSPÓŁCZESNOŚCI



A. Nacht-Samborski — Martwa natura*



K. Ostrowski — Pejzaz księżycowy*

tura plastyczna, znakomity warsztat, pełne opanowanie środków malarskich.

Intymne, dyskretne pejzaże Łady-Studnickiej; prace Żuławskich Teisseyra, Wodyńskiego, Strzałeckiego, Wnukowej — to przekroj przez twórczość starszego pokolenia sopockich malarzy. Gdzie się tylko podział Samborski? Czy pominięcie go w wystawie nie jest bardzo istotną stratą; czy nie zubożała wystawa o kilka ciekawych eksponatów?

Z młodszego pokolenia malarzy może tylko Śramkiewicz jest pełnie ukazany. Dość przypadkowo wybrane są prace Michałowskiego, którego akt jest jedną z najładniejszych prac na wystawie. Zupełnie

falszywie pokazano Ostrowskiego, a posłada on przecież wielką ilość kompozycji odważnych, interesujących — prac, w których dochodzą do głosu współczesne środki wyrazu. Jego „Martwa natura” odbija od pozostałych obrazów świeżością, decyzyjnością i dynamiczną kolorystyką. Jest żywa, bardzo zasadnicza ma jakąś dynamikę, jakąś trudną do określenia „dziarskość” — jest skonstruowana jak uwertura Rossiniego.

Nie ma na wystawie „Szermierzy” Wójcika, jednego z najciekawszych sopockich obrazów znanych z wystaw ogólnopolskich. Bardzo marnie pokazano Kozakiewicza, Pietkiewicza, Jackiewicza, a Pałowska na pewno posiada prace o

większym ciężarze gatunkowym od obecnie zawieszonych. Pominięto zupełnie Wojciechowską — nikt nie ponosił w związku z tym większej straty od samej wystawy. W sumie wystawa jest za bardzo ugrzeczniona, za dużo na niej eksponatów przeciętnych, a przecież wszyscy (nie z pewnością nie wszyscy) wiemy że nawet zło ma swoją wartość — że najgorsza jest przeciętność.

Jerzy Olkiewicz

* Reprodukujemy prace, których nie ma na wystawie. Dlaczego? Przecież wystawa nie jest tak zła, żeby nie znaleźć na niej trzech bardzo ciekawych obrazów. Nie jest tak zła, ale byłaby trochę lepsza, gdyby i te pokazano.



J. Wojciechowska — Martwa natura z okładką Matisse'a*

W OSTATNIM numerze „Przeglądu Kulturalnego” Jarociński krytykuje ignorancję publiczności, krytyków muzycznych i samych kompozytorów w stosunku do nie-polskiej współczesnej muzyki. Wierzbicki pisze o niewspółczesności naszej urbanistyki. Kott wykpiwa nowy repertuar Teatru Narodowego. Same narzekania, same lamenty: zaściankowość, ekлекtyzm, paseizm; rozbujają, powszechny kult przeszłości.

Ja z kolei ponarzekam na naszą plastykę. Przyjechałem do Sopotu na otwarcie Wystawy 10-lecia Plastyki Wybrzeża, 10-lecie najbardziej chyba aktywnego ośrodka plastycznego w kraju. Przyjechałem, obejrzałem wystawę i — spotkało mnie rozczarowanie. Jeżeli to jest wystawa najbardziej żywotnego środowiska — to albo jest ona nie do brzo urządzona, albo nie do brzo się działo w naszej plastyce. Może po prostu równocześnie i niedobrze się działo, i niedobrze urządzono.

Dlaczego tak ostry i tak negatywny sąd o wystawie, która nie tylko nie jest gorsza od innych krajowych wystaw, ale przeciwnie, jest od nich ciekawsza, a poziom przeciętny pokazanych prac jest wyższy od zwykłego spotykanego? Właśnie dlatego, że to wystawa sopocka i że od Sopotu można było spodziewać się czegoś więcej od przeciętności.

Rozgoryczenie spowodowane wystawą jest rozgoryczeniem w współczesną polską plastykę w ogóle. Zale skupiają się na Sopotcie, bo Sopot był wykładnikiem najwyższego może poziomu polskiego malarstwa i polskiej rzeźby.

Dziesięć lat plastyki. Rok 1955, 60 lat po śmierci Maneta, 50 lat po śmierci Cézanne'a, 74 rok życia Picassa. Wiek najgwałtowniejszych, najbardziej zasadniczych i istotnych przeobrażeń w plastyce. W Wisłę — i w Sekwanę — dużo, bardzo dużo wody upłynęło od czasu pierwszych wystąpień Delacroix, od pierwszego Salonu Niezależnych, od

Guerniki Picassa. Oglądamy wystawę, która jest podsumowaniem twórczości ostatnich lat. Oglądamy i z zalem musimy powiedzieć, że — z niewielką przesadą — wystawa taka mogłaby się odbyć 50 lat temu. Współczesność wystawy jest bardzo powierzchowna; charakter wystawy jest niewspółczesny.

Współczesność, która wyraża się tylko w anegdotce, w treści — nie jest prawdziwą Współczesnością wyrażającą się może jedynie nową formą. Tej nowej formy nie widać. Nowa forma staje się jakimś nierzalnym przedmiotem westchnień, nieosiągalnym celem, mitycznym rajem.

Obserwując nasze wystawy, obserwując sposób nauczania stosowany w szkołach artystycznych, czytając artykuły o plastyce w prasie — odnosi się bardzo dziwne wrażenie. Starzy plastycy wiedzą często sporo o współczesnym zachodnim malarstwie, ale nie chcą o nim nie wiedzieć; malują tak, jakby nie istniało. Młodzi nie wiedzą zwykle nic, chyba, że na własną rękę szperają po bardzo nielicznych bibliotekach. Dowiadują się raptem, że umiera jakiś mało znany Matisse, że Picasso — dziwak od „abstrakcyjnych” obrazów — maluje kompozycje związane z problematyką wojny, że Utrillo, to taki bardzo wykołejony pan, który ogromnie dużo pije. Dowiadują się z dziennikarskich ploteczek, albo zdawkowych dziennikarskich informacji — nie wiedzą w dalszym ciągu nic o malarstwie. Spróbujcie zapytać przeciętnego studenta na pierwszym, drugim, trzecim roku Akademii, kto to jest Leger, Braque czy Marquet; co wie o malarstwie Matisse'a, co malował Picasso w ciągu 73 lat życia. Co wam odpowie? Nic.

Spróbujcie szukać na sopockiej wystawie prac, których forma byłaby inspirowana współczesną, postępową formą malarską. Z małymi wyjątkami nie znajdziecie nic. — To są zasadnicze żale; żale zwrócone naturalnie nie tylko w stronę Sopotu.

Plastycy może oburzą się, że realizm, że polityka Ministerstwa, że kierowanie sztuką, że teraz jest trochę lepiej, że jest większa swoboda i można bardziej osobiście malować. Bardziej osobiście, to jak już od dawna wiemy — bardziej po mieszczańsku. Co za radość! Wróć słodki śnie! Ale gdzie jest do diabła ta współczesność?

Nie wymagajmy za dużo. Obserwowałem wahań polskiej plastyki, przeobrażenia malarstwa, od dziesięciu lat. Wiemy czego się można po wystawie 10-lecia spodziewać. Dlaczego w takim razie rozczarowanie?

Rozczarowanie leży w tym, że wystawa nie ukazuje wszystkich bardzo nieraz ciekawych osiągnięć sopockiej plastyki. Ze przemilcza wiele stron, które właśnie ze względu na współczesny warsztat i współczesną formę malarską są warte pokazania. Ze eksponuje sporo prac przeciętnych — albo wybitnych może jedynie zdaniem organizatorów wystawy — kosztem prac niewspółmiernie bardziej ciekawych. Że jest poprawna, że jest tylko bardzo przyzwoita, bardzo solidna — zamiast być ciekawa i frapująca.

Czas przejść do konkretów. Nie będę wprowadzić opisywań i wyliczeń poszczególnych eksponatów wystawy, poszczególnych autorów. Większość malarzy i większość obrazów znana jest dobrze z dawniejszych ogólnopolskich i sopockich wystaw.

Dominującą osobistością malarską wystawy jest Studnicki. Studnicki pokazuje trzy pejzaże — w tym piękny „Kościół w Chmielnicy” z ostatniej ogólnopolskiej wystawy — i „Portret przodownicy”. W portrecie najciekawszym plastycznie fragmentem są pierwszoplanowe ryby. Mimo, że są on, malowane z niewspółmiernie mniejszą troską o precyzję i detal, niż twarz centralnej postaci — a może właśnie przez swoją szkicowość — są dużo bardziej przekonujące od innych fragmentów obrazu „Kościół w Chmielnicy” to pejzaż, który najlepiej ukazuje Studnickiego: wielka kul-

Czytać — nie czytać?

Tadeusz Różewicz. Uśmiechy. Czytelnik, Warszawa 1955. Str. 149.

Dwie przeczytane przeze mnie „na świeżo” pozycje czytelnikowskiej Biblioteki Satyry: „Pozegnania” Dygata i „Uśmiechy” Różewicza — wzbudzają pochlebne refleksje nad interpretacją przez wydawnictwo słowa „satyra”. Termin ten, sądząc po opatrzonych nim książkach, dotyczy nie partyzanckiej, „fraszkowej” działalności pisarzy — ale jakiejś poważnej kampanii, która ma poprzez śmiech chłostać obywatela i — nie tylko obywatela...

Tak, w „Uśmiechach” Różewicza widzi się od czasu do czasu zarysy wielkiej satyry. Co więcej: w tymie tym możemy znaleźć wiersze, które jakby żywcem przewędrowały z innych, „poważnych” tomików poety. Tylko, że... w tych właśnie wierszach trudno dostrzec akurat satyrę! To nie są żarty: takie utwory jak „Nieboszyk przez grzeszność” lub „Spotkanie” robią wrażenie utożsamienia, może raczej pomylenia przez autora czy wydawców satyry z groteską (tak częstą w wierszach Różewicza) i liryką opisową.

I w tym właśnie tkwi istotna trudność, dla której „Uśmiechów” Różewicza nie można osądzić jedno-

znaczny werdykt: „czytać” albo „nie czytać”. Wybrniemy z kłopotu drogą salomonową: z wierszowanych „Uśmiechów” warto czytać zabłąkane liryki, zwłaszcza rodzinne („Dytiramb na cześć teściowej”, „Odwiedziny dziadka”) — no i kpiny z kolegów po piórze. Pozostałych — raczej nie...

Inna i — szczerze powiedzmy — gorsza sprawa jest z satyryczną prozą Różewicza, z „Humoreskami”. Nawet mając w pamięci jako okoliczność łagodzącą to, że Różewicz debiutował literacko jako prozaik — trudno usprawiedliwić wznowienie i przypomnienie tych utworów. To są właśnie fraszki prozą — tyle, że długawe, z rzadką dowcipną, a często nudną. Trudno i darmo: albo Różewicz za mało czytał Czechowa, albo za mało się od niego nauczył...

W „Uśmiechach” Różewicz ofiarował nam garść obrzyneków ze swego poetyckiego warsztatu. Znamyż można pośród nich i okrawki czystego złota talentu, i wióry poetyckiej dziennikarszczyzny. Rzecz czytelnika jest odkrycie w tym wszystkim darów prawdziwej satyry. Rzecz krytyka jest wyrazić pewien żal, że tego wyboru czytelnikowi nie ułatwiono. Nie o ilość

nam chodzi, proszę „Czytelnika” i autora, nie o ilość...

Z. P.

Andrzej Szczypiorski, Ojcowie epoki. Czytelnik, Warszawa 1955. Str. 150.

Smak prozy Andrzeja Szczypiorskiego jest dziwny i nie często spotykany, zwłaszcza wśród współczesnych debiutów. Proza to bowiem mało młodzieńcza, mało w niej młode gwałtowności, wiele spokoju i jakby hieratycznego gestu. Szczypiorski, jak wielu jego kolegów debiutantów, wędruje (ale nie goni!) w poszukiwaniu sensu historii stającej się na jego oczach. Wiele w tym odpowiedzialnej powagi, mało łapczywej żarliwości...

W tomie Szczypiorskiego zaobserwować można dwa paralelne wątki: spraw polskich i spraw obcych, narodowy i internacjonalistyczny. „Ojcowie epoki” zaczynają się „Wspomnieniem serdecznym” z ostatnich chwil hitlerowskiego obozu koncentracyjnego — zamykają się tytułowym opowiadaniem o załodze samolotu, który zrzucił pierwszą bombę atomową. Jest w tym początku i końcu jakaś wielka metafora, jakieś pragnienie przegrzybie-

nia się, przedarcia przez pozornie zagniatany, ale w gruncie rzeczy jasny sens naszych czasów, sens wyboru między człowiekiem i bestią...

Dobrze świadczy o Szczypiorskim i to, że nie unika on w swoich opowiadaniach dramatycznych, ludzkich konfliktów — chociaż obserwuje je z pewnej perspektywy, umożliwiającej syntetyzujący rzut oka na całość problemu. Ta perspektywa, dystans — to tajemnica hieratyczności, powagi prozy Szczypiorskiego, to powód, dla którego jego książkę można uznać za rzadki debiut potrzebny...

Jakie konflikty interesują autora „Ojcowie epoki”? Konflikty wielkie, rozstrzygające o wygranej lub klęsce życiowej, o wartości własnego narodu i ustroju. W poszukiwaniu tych konfliktów Szczypiorski chętnie przekracza granice zachodniej Europy i półkuli, gdzie — jak mu się zdaje — lepiej można zaobserwować walkę starego z nowym, rozpaczy z nadzieją...

Czy wobec tego debiut Szczypiorskiego można uznać za udany? Ba, oto jest pytanie! Myślę, że debiut jest bezwzględnie udany, tylko w tym wypadku, kiedy można sobie wyobrazić stałe miejsce jego autora w literaturze ojczystej, nawet gdyby zamilkł lub umarł. Tak udany tom opowiadań Szczypiorskiego nie jest. Ale jest w nim kilka utworów, których nie trzeba się

wstydić jako pisarskiego startu. Za mało ich jednak na metę...

Z. P.

Jerzy Ficowski: Po polsku. Czytelnik, Warszawa 1955. Str. 118.

Bardzo lubię poetów, których wiersze pomagają mi widzieć świat w jego zmysłowej, plastycznej i kolorowej urodzie. Jerzy Ficowski jest właśnie takim poetą, a lektura jego ostatniego tomiku może się stać nie lada przyjemnością dla tych, którzy w metaforach szukają odkrycia nieznanego dotąd i nie nazwanego uroku rzeczy widzianych.

Nie należy jednak sądzić, że ostatnie wiersze Ficowskiego są obrazkami malowanymi, przez poetę z perspektywy ahistorycznej wieży z kości słoniowej, pomalowanej na wszystkie kolory tęczy. Wiersze Ficowskiego łączą z naszymi czasami nie co innego, jak ludowość — jakże jednak inaczej pojęta od sztandarowych, wiejskich poetów w rodzaju Anny Kamińskiej. Ludowość np. „Trzech piosenek” czy „Wycianki kurpiowskiej” — to odczuć przemian dzisiejszej wsi, połączonych z odbiciem krajobrazu w chłopskich oczach i to wszystko wiane w dziwnie przystającą do swej treści formę ludowej piosenki. Pewno, że i u Ficowskiego straszny złośniwy choćliki wyłączeni tematycznej, że w tomiku „Po pol-

sku” mamy wiele wierszy, których rację istnienia uzasadnia jedynie poetycka uciecha z panowania nad słowami i zaklęciem w nich światem — ale...

Ale właśnie casus Ficowskiego przekonuje dowodnie o biedności stawiania przed poetami wymagań i postulatów tracących wszystkie istychności maksymalizmem. Trudno, nie każdy twórca ma pierś na miarę Mickiewicza, a nawet Saffa czy Jastruna — nie każdy poeta powinien dokonywać śmiałych prób płynięcia i utrzymania się na głównym nurcie historii... Myślę, że główną zdolnością — bez której nie masz artysty — jest zdolność spokojnego i mądrego wyrzeczenia się, samooograniczenia, pójścia własną drogą — chociażby to była skromna, mało widoczna ścieżka, a nie główny gościec...

Z tego względu chciałbym otrzymać od Ficowskiego wiele takich erotyków, jak „Dwa księżycy” czy „Moja pieśń nad pieśniami”, wiele takich wierszy o Warszawie, jak „Ballada o dwóch zegarach”, wiele takich przekładów z F. G. Lorci, jak „Noce...”. Złazszcza ten ostatni patron literacki jest dla Ficowskiego bardzo znamienity i... pożądanym: w jego wierszach piękno świata śpiata się „erozerwalnie z dramatyczną walką o lepszą ludzką przyszłość...”

Z. P.